

Johann Wolfgang Goethe

# Cierpienia młodego Wertera

**BRYK** 



Książka dostępna na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

tłum. Franciszek Mirandola

Wszystkie szczegóły dziejów biednego Wertera, jakie tylko zebrać zdołałem, zgromadziłem skrzętnie i podaję wam tutaj, ufny, iż wdzięczni mi będziecie za to. Zaprawdę, niepodobna odmówić podziwu i miłości charakterowi jego oraz zaletom umysłu, a smutne koleje jego życia wycisnąć muszą łzę z oczu.

Zacna duszo, odczuwająca też same, co on tęsknoty, niechże ci z cierpień jego spłynie w duszę pociecha i jeśli los zawistny, lub wina własna nie pozwoliły ci pozyskać przyjaciela bliższego, niechże ci książka ta przyjacielem się stanie.

## Część pierwsza

4 maja 1771

O jakże cieszę się, że wyjechałem! Powiesz drogi przyjacielu, że niewdzięcznym jest serce człowieka? Opuściłem ciebie, którego tak kocham, z którym nierozłączny byłem i oto — cieszę się? Ale wiem, że mi przebaczysz, bo czyż los nie uczynił wszystkiego, co mogłoby mnie udręczyć? Biedna Leonora! Byłem jednak niewinnym, czyż mogę bowiem ponosić odpowiedzialność za to, że pod wpływem zalotności jej siostry i miłego z nią obcowania, zrodziła się namiętność w biednym sercu? A mimo to — czyż jestem naprawdę bez winy? Czyż nie podsyciałem jej uczuć, czyż nie dawałem się ponosić wrażeniom, czyż nie śmialiśmy się z przeróżnych rzeczy, choć zgoła śmieszne nie były? Czyż wolno człowiekowi skarżyć się na losy swoje? Przyjacielu mój drogi, przyrzekam poprawę! Nie będę już, jak to czyniłem do tej pory, bezustannie przeżuwał owych nikłych zaprawdę przeciwności, jakie przyniosło mi przeznaczenie. Chcę używać tego, co mam przed sobą, a zapomnieć o tym, co było i przeminęło. Zaprawdę, masz słuszność mój drogi: pośród ludzi mniej byłoby trosk, gdyby — o, czemuż się tak dzieje — gdyby nie wyteżali całej wyobraźni na wywoływanie zjawy minionych cierpień, a raczej znosili obojętnie to, co niesie chwila bieżąca.

Powiedz, proszę cię, matce mojej, że dołożę wszelkich starań, by należycie załatwić jej sprawy i rychło doniosę o wszystkim. Rozmawiałem z ciotką i zaręczam ci, że nie jest ona tak zła, jak to się o niej u nas mówi. Jest to kobieta żywa i gwałtowna, ale serce ma złote. Opowiedziałem jej o skargach matki, spowodowanych trudnościami uzyskania należnego jej spadku. Wyłożyła mi przyczyny swego postępowania oraz podała

warunki, pod jakimi gotowa jest wydać wszystko, co należy, a nawet dać więcej, niżśmy żądali. Nie chcę się o tym rozpisywać w tej chwili, ale koniec końcem, powiedz matce, że wszystko będzie dobrze. Z racji tych spraw drobnych przekonałem się ponownie, drogi przyjacielu, że nieporozumienia i opieszałość wywołują wśród ludzi więcej może jeszcze zamętu, niż złośliwość i podstęp. Te ostatnie przyczyny zła jawią się w każdym razie rzadziej.

Jest mi tutaj zresztą bardzo dobrze. Samotność, to balsam nieoceniony dla mego skolatanego serca. Miejscowość, gdzie przebywam, to raj prawdziwy, a wiosna tu w pełni uroczych ponęt swych i rozkwitu. Drzewa, żywopłoty, to jakby ogromne kwietne kiście, tak, że zbiera ochota zmienić się w chrząszczyka, nurzać się w tej wonnej toni i żywić się wyłącznie zapachem.

Miasto samo niczym nie pociąga, ale za to okolica niewypowiedzianie piękna. To właśnie skłoniło zmarłego hrabiego M... do założenia ogrodu na jednym ze wzgórz, które leżą tutaj na widnokręgu, porozdzielane uroczymi dolinami. Ogród urządzony jest po prostu i wstąpiwszy weń, czuje się od razu, że nie jest to dzieło kunsztowne człowieka biegłego w swej sztuce i fachowego ogrodnika, ale, że plan ogrodu kreślił człowiek serca, który chciał, by mu tutaj było dobrze. Uroniłem też niejedną łzę ku czci zmarłego, siedząc w rozpadłym na poły pawilonie, który był dawniej jego ulubionym miejscem, a jest dzisiaj moim. Niebawem stanę się panem owego ogrodu. Mimo że bywam tu dopiero od kilku dni, ogrodnik okazuje mi życzliwość i nieźle na tym wyjdzie.

10 maja

Przedziwna pogoda ogarnęła moją duszę, niby owo zaranie wiosny, którym poję ciągle serce moje. Jestem sam i używam życia w całej pełni, bo zaprawdę, okolica ta stworzoną jest wprost dla dusz takich, jak moja. Drogi przyjacielu, jestem tak szczęśliwy, tak bardzo utonąłem w ciszy słodkiego bytowania, że cierpi na tym sztuka. Niezdolny rysować, niezdolny położyć kreski, czuję mimo to, że nigdy większym nie byłem malarzem jak w tej chwili. Kiedy z uroczej doliny podnoszą się opary, a słońce patrzy z wysoka na nieprzeniknioną ciemń lasu, wysyłając jeno małe wiązki promieni w głąb tego świętego przybytku, leżę sobie w wysokiej trawie nad brzegiem szemrzącego potoku. Przytulony do ziemi, dziwuję się rozlicznym trawkom, czuję blisko serca rojowisko mnóstwa małych robaczek i komarów, snujących się pośród żdźbeł, i patrzę na ich przedziwne, tajemnicze kształty. Wówczas czuję żywo obecność

Wszemocnego, który stworzył nas na swój obraz i podobieństwo, chwytam tchnienie Tego, który wszystko swą miłością otacza i utrzymuje świat przy życiu. Przyjacielu, wówczas ćmi mi się w oczach, a cała ziemia wokół i niebo spoczywa w mej duszy jak zjawia ukochanej. Tęsknię wóczas i myślę: ach... gdybyś to wszystko mógł wyrazić, gdybyś przelać mógł na papier to, co tak pełne, tak gorące żyje w tobie, natenczas byłoby ono zwierciadłem twej duszy, podobnie, jak dusza twoja jest odzwierciedleniem boskiej nieskończoności. Przyjacielu! Niestety, dlatego niszczeję i upadam pod tą nawałą wspaniałości zjawisk.

12 maja

Nie wiem, czy duchy ludzkie unoszą się ponad tą okolicą, czy to płomienna, niebiańska fantazja mego własnego serca sprawia, że wszystko wokół jest takie rajske. Niedaleko pod miastem jest studnia, studnia, do której przykuty jestem, niby Meluzyna wraz ze swymi siostrami. Po stoku małego wzgórza schodzi się, staje pod sklepieniem, a potem, zstąpiwszy w dół po jakichś dwudziestu stopniach, znajduje się przeczystą wodę, ze skał marmurowych tryskającą. Niewielki murek, okalający studnię od góry, wysokie drzewa, słoniące ją cieniem, chłód, jaki tu panuje, wszystko razem pociąga i przejmie drżeniem. Nie ma dnia, bym tu nie spędził bodaj godziny. Raz po raz jawią się tu dziewczęta z miasta po wodę, załatwiając ową czynność prostą i konieczną, jakiej niegdyś oddawały się nawet córki królewskie. Gdy siedzę tutaj, budzi się we mnie tak żywo patriarchalna wizja pradziadów, nawiązujących u studni znajomości, starających się o rękę wybranki i duchów dobroczynnych, polatujących wokół źródeł i studni. Zaprawdę, nie krzepił się chyba u chłodnej studni po znoej wędrówce w czas letni ten, kto tego odczuć niezdolny.

13 maja

Pytasz, czyli przysłać książki moje? — Drogi mój, proszę cię, nie przysyłaj mi ich na Boga! Nie trzeba mi kierownictwa, ni zachęty, czy podniety, wszak serce me samo przez się tętni aż nazbyt gwałtownie. Tylko kołysanka zda mi się, a znalazłem ich pod dostatkiem w moim Homerze. O, jakże często do snu kołyszę wzburzoną krew. Zaprawdę, nie widziałeś chyba nic tak nie zrównoważonego, niespokojnego jak serce moje. Wszakże nie potrzebuję mówić o tym tobie, który doznawałeś nieraz

przygnębienia patrząc, jak przerzucam się z troski do rozpętania i ze słodkiego rozmarzenia do zgubnej namiętności. Postępuję z moim sercem jak z chorym dzieckiem, powolny wszelakiemu jego zachceni. Nie rozgłaszaj tego, bo są tacy, którzy by mi to wzięli za złe.

15 maja

Prostaczkowie miejscowi znają mnie już i lubią, zwłaszcza dzieci. Gdym zrazu zbliżał się do nich i rozpytywał poufale o to i owo, niektórzy mniemali, że chcę z nich drwić i odprawiali mnie w sposób co się zowie szorstki. Ale nie brałem sobie tego do serca, tylko uczuwałem nader żywo to, co już nieraz zauważyłem. Ludzie wyższych sfer trzymają się zawsze w pewnym chłodnym oddaleniu od prostego ludu, jakby się obawiali, że stracić coś mogą na zbliżeniu, ale zdarzają się wartogłowy i kpiarze, okazujący prostaczkom pozorną łaskawość po to jeno, by swawolą swą dotknąć tym boleśniej jeszcze.

Wiem, że nie jesteśmy równi i równymi być nie możemy, ale wedle mego zapatrywania, ten, który odsuwa się od tak zwanego motłochu, by zachować swe dostojeństwo, jest równie godny nagany jak tchórz, unikający przeciwnika z obawy porażki.

Niedawno przyszedłszy do studni, zastałem młodą służebną. Postawiła naczynie na najniższym stopniu i rozglądała się, czy nie zjawi się jakaś towarzyszka, chętna do pomocy w dźwignięciu naczynia na głowę. Zszedłem i spojrzałem na nią. Czy pomóc panience? — spytałem. Twarz jej oblała się żywym rumieńcem. — Jakżeby też pan...? — powiedziała. — Niewielka to rzecz. Włożyła na czoło nagłówek, a ja podałem jej naczynie. Podziękowała i poszła schodami na górę.

17 maja

Porobiłem rozmaite znajomości, towarzystwa jednak nie znalazłem do tej pory. Nie wiem, co mogę mieć w sobie pociągającego dla tych ludzi, wielu z nich mnie lubi, kupią się wkoło mnie, a kiedy zdarza się, że drogi nasze niewielką tylko przestrzeń razem biegną, przykro mi się robi. Gdybyś spytał, jacy tu są ludzie, odparłbym, że tacy, jak wszędzie. Rodzaj ludzki, to rzecz nad wyraz jednostajna! Większość spędza na pracy przeważną część życia, by żyć, a owa znikoma część wolności, jaka im pozostaje,

napawa ich taką obawą, iż czynią, co mogą, by jej się wyzbyć co prędzej. O, jakimże jest przeznaczenie ludzi?

Ale jest to lud dobry i pocziwy! Bardzo dobrze się czuję, gdy się czasem zapomnę, zażyję z nimi rozrywek, na jakie jeszcze wolno sobie pozwolić, gdy siedząc u obficie zastawionego stołu, pożartuję w szczerości ducha swobodnie, zrobię wycieczkę, potańczę przy sposobności, czy coś podobnego uczynię. Lecz nie śmie mi wówczas przyjść na myśl, że tyle spoczywa we mnie odmiennych, utajonych sił, niezużytych, marniejących, które muszę ukrywać tak starannie. Ach, jakże to obezwładnia serce... a przecież przeznaczeniem ludzi mnie podobnych jest nie znaleźć zrozumienia.

Ach, czemuż nie ma już przyjaciółki młodości mojej! Ach, ach, czemuż ją poznałem? Powinienem sobie powiedzieć: nierozsądny jesteś, szukasz, czego na ziemi znaleźć niepodobna! Posiadałem ją jednak, odczuwałem to serce, tę wielką duszę i czułem się w jej obecności czymś więcej, niż jestem, byłem bowiem wszystkim, czym zostać mogłem. O Boże! Czyż wówczas pozostała bezczynną bodaj jedna z sił duszy mojej? Czyż nie byłem w możności rozwijać przed nią wszystkich owych cudnych uczuć, którymi serce moje ogarnia przyrodę? Wszakże stosunek nasz był nieustanną tkaniną, złożoną z subtelnych wrażeń i bystrości dowcipu, a wszystkie jej modyfikacje, dochodzące czasem aż do wybryków, nosiły na sobie piętno geniuszu. Cóż teraz! Wyprzedziła mnie wiekiem i zeszła wcześniej, niżli ja do mogiły. Nigdy jej nie zapomnę, zawsze przytomną mi będzie potęga jej rozumu i niebiańska wyrozumiałość.

Przed kilku dniami napotkałem tu młodego V. Jest to chłopak szczery, bardzo miłej powierzchowności. Skończył właśnie uniwersytet, nie uważa się za mędrca, a jednak przekonany jest, że więcej posiada wiadomości od innych. Pracował, jak to zaraz widać, pilnie i nabył sporego zasobu wiedzy. Posłyszawszy, że dużo rysuję i znam greczyznę (dwie niesłychane rzeczy tutaj), zwrócił się do mnie, rozłożył swój kramik naukowy, mieszczący różności poczynawszy od Batteux do Wooda i od Piles'a do Winekelmanna, zaręczył mi, że przeczytał całą pierwszą część teorii Sulzera oraz, że posiada rękopis Heynego o studium antyku. Przyjąłem to do wiadomości.

Poznałem także pewnego zacnego człowieka o szczerym i otwartym sercu, komisarza książęcego. Podobno niezmiernie miło się robi na duszy, gdy się go widzi pośród dziewięciorga jego dzieci, a zwłaszcza cuda głoszą o najstarszej córce. Zaprosił mnie, toteż złożę mu wizytę, jak się tylko da najrychlej. Mieszka w książęcej leśniczówce, o półtorej godziny drogi stąd, dokąd się wyprowadził, uzyskawszy

pozwolenie opuszczenia miasta i siedziby w budynku urzędowym, której widok po stracie żony ranił go boleśnie.

Poza tym natknąłem się na kilku dziwaków, w których wszystko mnie razi, a najnieznośniejszymi są mi objawy ich przyjaźni.

Bywaj zdrów! List ten zadowoli cię niezawodnie, jest bowiem na wskroś historyczny.

22 maja

Niejednemu już wydawało się, że życie jest snem tylko, a i mnie uczucie to nie opuszcza ni na chwilę. Gdy spoglądam na szranki, w które wtłoczona jest czynna, badawcza energia człowieka i widzę, że wszelka działalność nasza ogranicza się ostatecznie tylko do zaspokojenia potrzeb, a potrzeby te mają jeno ten jedyny cel, by przedłużyć marne istnienie nasze, gdy dalej widzę, że owo uspokojenie co do niektórych punktów poszukiwań naszych polega jeno na marzycielskiej rezygnacji, bo przecież jeno ściany więzienia naszego przysłania barwnymi kształtami i jaśniejącymi blaskami nadziei — gdy pomyślę o tym wszystkim, drogi Wilhelmie, słowa zamierają mi na ustach. Cofam się w siebie i tu odnajduję mój świat, co prawda znowu raczej zawarty w przeczuciu i mglistych pragnieniach, jak w oczywistych, żywych, tętniących siłą kształtach. Wszystko — przesuwa się przede mną, uśmiecham się i wnikam w ten świat, rozmarzony.

Wszyscy przemądrzali pedagogowie i ochmistrzowie godzą się na to, że dzieci nie wiedzą czego chcą, natomiast nikt uwierzyć nie chce, mimo naocznej oczywistości tego faktu, że także dorośli wałęsają się po tej ziemi podobni dzieciom, równie jak one nie wiedząc wcale, skąd się wzięli i dokąd zmierzają i że tak samo nie kierują swych czynów ku prawdziwym celom i tak samo podlegają rządowi łakoci i łozowej różgi.

Przyznaję chętnie, wiedząc z góry, co mi na to odpowiesz, że najszcześniejszymi są właśnie ci, którzy żyją z dnia na dzień, piastują swe ulubione lalki, ubierają je i rozbierają, z należytych respektów przemykają koło szuflady, gdzie mama chowa pierniczki, a gdy na koniec wpadnie im w ręce pożądany przysmak, pożerają go chciwie, wołając: jeszcze! Tak, są to szczęśliwe stworzenia. Dobrze się dzieje także tym, którzy swym marnym zatrudnieniem, albo nawet własnym namiętnościom nadają wspaniałe nazwy i zachwalają rodzajowi ludzkiemu jako gigantyczne czyny, dla jego dobra i pomyślności podjęte. Dobrze się dzieje temu, kto może tak postępować. Ale człowiek, zdający sobie w pokorze ducha sprawę z ostatecznych wyników tego wszystkiego,

widzący dobrze jak każdy obywatel, wiodący żywot szczęśliwy, umie sobie rajem uczynić własny ogródek, jak nawet nieszczęśnik, uginający się pod brzemieniem losu, kroczy dalej swą drogą w beztrosce zupełnej, jak wszyscy jednakowo wysilają się, by o minutę bodaj przedłużyć swój żywot na ziemi, — człowiek taki staje się cichy, stwarza świat własny, wywodząc go z siebie samego i czuje się także szczęśliwym, bowiem jest również człowiekiem. Poza tym, mimo owej niewoli przyrodzonej, żywi on w sercu słodkie uczucie swobody i wie, że opuścić może, gdy zechce, więzienie.

26 maja

Znasz z dawien dawna mój sposób zagospodarowywania się, budowania sobie w jakimś zacisznym miejscu chałupki i wiesz, jak umiem żyć, poprzestając na małym. I tutaj znalazłem kącik, który mnie pociągnął ku sobie.

O niespełna godzinę drogi od miasta znajduje się miejscowość, zwana Wahlheim. Położona jest bardzo uroczo na wzgórzu, a dotarłszy ścieżyną na jego szczyt za wioską, można objąć spojrzeniem całą dolinę. Jest tu pocziwa gospodyni, nalewająca gościom uprzejmie i ochoczo mimo swych lat, to wina, to piwa, to kawy, a ponadto, rzecz główna, są tu dwie lipy, cieniące rozłożystymi konarami niewielki placyk przed kościołem, obstawiony wokół domami wieśniaczymi, stodołami i zagrodami. Nigdy jeszcze nie wynalazłem sobie tak przytulnego zakątka, toteż każę sobie tu wynosić z gospody stół i krzesło, piję kawę i czytam Homera. Gdym po raz pierwszy przypadkiem pewnego pogodnego popołudnia zaszedł pod te lipy, placyk był niemal całkiem pusty. Wszyscy byli w polu, tylko czteroletni może chłopak siedział na ziemi, trzymając pomiędzy kolanami półroczne maleństwo i przytulając je do siebie. Służył mu w ten sposób za rodzaj krzesła i mimo żywości, przebłyskującej w czarnych oczach, siedział spokojnie. Zaciekawiał mnie ten widok, usiadłem na leżącym opodal pługu i wyrysowałem ową scenę braterskiego poświęcenia. Za tło dałem pobliski płot, bramę, szopy i kilka połamanych kół od wozu, wszystko tak, jak było w rzeczywistości. Po upływie godziny powstał ciekawy, dobrze skomponowany rysunek bez jakiegokolwiek dodatku własnej fantazji i to utwierdziło mnie w postanowieniu trzymania się w przyszłości samej tylko natury. Ona kryje największe skarby i ona sama wydaje największych mistrzów. Można przytoczyć wiele na korzyść metod twórczych, niemal to samo, co na pochwałę społecznej organizacji mieszczańskiej. Człowiek, powodujący się jej zasadami, nie wytworzy nigdy czegoś wstrętnego i złego, podobnie jak ten, kto kieruje się prawem i

względami dobrobytu, nie stanie się nigdy nieznośnym sąsiadem, ni wybitnym złoczyńcą; mimo to, cokolwiek by ktoś przytaczał, każda szkolarska metoda zniweczyć musi prawdziwe odczucie przyrody i rzeczywisty jej wyraz. Powiesz może, że to zbyt ostry sąd, że metoda przycina jeno wilcze pędy i tamuje ich bujanie?. Przyjacielu, czy mam ci to objaśnić porównaniem? Rzecz się tu ma tak, jak z miłością. Serce młodzieńca garnie się do dziewczyny, nie oddala się od niej ani na chwilę w ciągu dnia, szafuje rozrzutnie wszystkimi swymi siłami, całe bogactwo swe wkłada w to, by dać poznać, że oddane jest jej bez podziału. Naraz zbliża się filister, człowiek piastujący urząd publiczny i powiada: Młodzieńcze, miłość, to rzecz ludzka, ale winniście się kochać, jak przystało ludziom serio. Musisz podzielić swój czas, przeznaczyć pewną ilość godzin na pracę, a porę odpoczynku możesz poświęcić swojej ukochanej. Oblicz swój majątek, a z tego, co ci pozostanie od kwoty potrzebnej na życie, wolno ci będzie kupić jej podarek, byle nie zdarzało się to zbyt często, a więc np. w dniu urodzin, imienin itp. Jeśli młodzieniec tej rady usłucha, to wyrośnie niezawodnie na użytecznego człowieka i można by zalecić każdemu panującemu, by obdarzył go stanowiskiem w kolegium. Tylko miłość jego przestanie istnieć, a jeśli jest to artysta, to przepadł jako twórca. O przyjaciele drodzy! Dlaczegoż to tak rzadko zbiera rwący potok geniuszu i w podziw wprawia dusze? Oto dlatego, że po obu jego brzegach rozsiedli się możni, spokojni panowie, posiadający tu swe altanki, swe grzędy tulipanów i pola kapusty, przeto chcąc je uchronić od szkody, zawczasu już starają się usunąć grożące im niebezpieczeństwo przez tamowanie i odprowadzanie wzburzonych fal.

27 maja

Popadłem, widzę, w zachwyt, przypowieści i deklamację i zapomniałem z tego powodu opowiedzieć ci dokładnie, co się potem stało z dziećmi. Przesiedziałem blisko dwie godziny na pługu, zatopiony w malarskie wrażenia, które ci we wczorajszym liście bardzo urywkowo nakreśliłem. Pod wieczór zbliżyła się młoda niewiasta do dzieci, które przez cały czas nie ruszyły się z miejsca. Niosła na ręku koszyk i zawołała z dala: Filipie, grzeczny chłopiec z ciebie! — Pozdrowiła mnie, oddałem ukłon, zbliżyłem się i spytałem, czy jest matką tych dzieci. Potwierdziła to, dała starszemu połowę przyniesionej bułki, potem, podniósłszy z ziemi maleństwo, ucałowała je z macierzyńską miłością. Kazałam — powiedziała — Filipkowi pilnować malca, a z najstarszym synem udałam się do miasta po bułki, cukier i rynkę. — Ujrzałem to

wszystko w koszyku, z którego zsunęła się pokrywka. — Muszę memu Jaśkowi (takie było imię najmłodszego) ugotować na wieczór zupki. Ten, najstarszy, ladaco, stłukł mi wczoraj rynkę, gdy wyrywał ją Filipkowi, chcąc dostać się do wyskrobków lempjeski! — Spytałem o najstarszego i zaledwie mi zdołała powiedzieć, że upędza się po łące za gęsiami, gdy nadbiegł w podskokach, przynosząc młodszemu bratu pręt leszczynowy. Z rozmowy z młodą kobietą dowiedziałem się, że jest córką miejscowego nauczyciela i że mąż jej udał się do Szwajcarii w sprawie spadku po krewnym. Chciano go oszukać, powiedziała, nie odpowiadano na jego listy, przeto pojechał sam. — Oby mu się tylko co złego nie przydarzyło! — dodała. — Nie mam odeń wieści! — Z trudnością przyszło mi rozstać się z ową kobietą. Dałem obu chłopcom po groszu, również dla malca dałem grosz matce, by mu przyniosła z miasta przy okazji bułkę do polewki, a potem pożegnaliśmy się.

Powiadam ci, mój drogi, w chwilach, kiedy uczuвам zamęt w głowie, wonczas chaos myśli łagodzi widok takiego oto stworzenia, trwającego w szczęsnym spokoju, obracającego się w ciasnym kręgu bytowania swego, istoty żyjącej z dnia na dzień, która patrząc, jak liście spadają, myśli tylko o tym jednym, że zima nadchodzi.

Od tego dnia bywam tam często, dzieci przywykły do mnie. Gdy piję kawę, dostają cukru, a wieczorem po trochu chleba z masłem i po odrobinie kwaśnego mleka. W niedzielę nie mija ich nigdy obowiązkowy grosz, a na wypadek, gdyby mnie nie było wieczorem, po godzinie modlitwy właścicielka gospody ma polecenie wypłacić tę należność.

Spoufaliły się ze mną, opowiadają mi różności, a mnie bawi zwłaszcza ich roznamiętnienie i naiwne objawy pożądania, gdy zbierze się większa gromadka wiejskich wisusów.

Z trudem zdołałem przekonać matkę, że zbyteczne są jej obawy, by miały się mnie uprzykrzyć.

30 maja

To, co ci niedawno pisałem o malarstwie, odnosi się niezawodnie również do poezji. Idzie o to, by pojąć to, co jest doskonałe i mieć odwagę je wypowiedzieć. Rzecz to niemała, choć pokrótce ujęta. Przeżyłem dziś coś, co po prostu przepisane, dałoby najpiękniejszą idyllę w świecie. Ale czymże jest poezja, sceneria, idylla? Czyż zawsze musimy smarować, przeżywając coś, co jest przejawem natury?

Zapewne po takim wstępie oczekujesz czegoś niezwykłego. Niestety, zawiedziesz się; to żywe zainteresowanie wzbudził we mnie zwyczajny parobczak wiejski. Opowiem rzecz, jak zazwyczaj, źle, a ty, jak zazwyczaj, posądzisz mnie oczywiście o przesadę, bo oto znów jeno Wahlheim i ciągle w kółko Wahlheim, jest widowiskiem owych niesłychanych i rzadkich przeżyć.

Pod lipami zebrało się towarzystwo i raczyło się kawą. Ponieważ mi niezupełnie odpowiadało, przeto pod jakimś pozorem pozostałem na uboczu.

Z pobliskiego domu nadszedł parobczak i zaczął majstrować koło pług, który rysowałem niedawno. Podobał mi się, przeto zagadnąłem go o to i owo, zapoznaliśmy się szybko, a jak mi się to zazwyczaj zdarza w obcowaniu z ludźmi tego rodzaju, pozyskałem jego zaufanie. Powiedział mi, że służy u pewnej wdowy i że mu u niej bardzo dobrze. Opowiadał o niej szeroko i wychwalał ją w ten sposób, że zauważyłem niebawem, iż oddany jej jest duszą i ciałem. Mówił, że nie jest już młodą, doznała wiele złego ze strony męża i dlatego też nie chce wychodzić powtórnie za mąż. Z opowiadania chłopaka przebijało wyraźnie, że jest dobra, życzliwa i miła w obejściu, a zarazem poznałem, jak bardzo pragnie, by go wybrała, by mu pozwoliła zatrzeć w jej pamięci błędy i wady pierwszego małżonka. Musiałbym słowo w słowo powtórzyć, co mówił, by przedstawić przywiązanie, miłość i wierność tego człowieka. Musiałbym ponadto posiadać geniusz największego poety, by ci uzmysłwić jego gesty, dać pojęcie o harmonii głosu oraz przywieść żywo przed oczy skryty żar jego spojrzenia. Nie, zaprawdę, żadne słowa nie potrafią wyrazić subtelnej delikatności, przepajającej go i ujawniającej się w całym zachowaniu. Wszystko, co mógłbym o tym powiedzieć, musiałoby być prostackie. Wzruszała mnie zwłaszcza obawa jego, bym o stosunku, jaki ich łączył, nie myślał źle i nie wątpił w jej dobre prowadzenie się. Z jak niewysłowionym zachwytem opowiadał o jej postaci i ciele, które nawet bez wdzięku młodości pociągało go ku sobie nieprzeparcie, mogę powtórzyć sobie jeno w głębi własnej duszy. W tej czystości nie widziałem w życiu płomiennej żądzy i tęsknego pragnienia, co więcej, o tak czystej ich formach nie myślałem i nie marzyłem dotąd nigdy. Nie łaj mnie, gdy ci powiem, że dusza mnie pali na wspomnienie owej niewinności i prawdy i że obraz tej wierności i uczucia nie schodzi mi z myśli, do tego stopnia, iż sam tęsknię i pożadam.

Postaram się zobaczyć ją jak najprędzej, a raczej postaram się tego uniknąć. Lepiej patrzeć mi będzie na nią oczyma zakochanego, bo może oczom moim własnym ukazałaby się inną, niż ją teraz widzę, a po cóż psuć sobie piękny obraz?

16 czerwca

Czemu do ciebie nie piszę? — Pytasz o to, mimo że zaliczasz się przecież do uczonych? Wszakże powinienesz być odgadnąć, że mi musi być dobrze... Krótko mówiąc, zawiązałem pewną znajomość, która dotyczy bliżej mego serca. Otóż... cóż mam powiedzieć?

Trudno mi będzie nad wyraz opowiedzieć ci w porządku, jak się to stało, że poznałem jedno z najmiłszych stworzeń świata. Jestem zadowolony i szczęśliwy, a zatem nie mam wcale zamiaru zostać historykiem.

Jestże aniołem? — Nie, tym mianem zowie pierwszy lepszy swą uwielbianą! Nie jestem jednak w stanie uzmysłwić ci inaczej jej doskonałości i nie mogę wyjaśnić, dlaczego jest doskonałą. Dosyć na tym, że wzięła w niewolę cały mój umysł.

Jakże jest naiwna przy całym swym rozumie, jakże dobra, mimo stałości charakteru, jakże spokojną jest jej dusza, mimo ożywienia i ustawicznej ruchliwości!

Wszystko, co o niej piszę, to czcza gadanina, to same abstrakcje, niezdolne oddać ni jednego rysu jej istoty. Innym razem — nie, nie innym razem, teraz ci muszę opowiedzieć wszystko. Gdybym zaniechał, nie stałoby się to już nigdy. Prawdę mówiąc, od chwili rozpoczęcia tego listu, już trzy razy miałem ochotę rzucić pióro, kazać osiodłać konia i jechać. Przysięgłem sobie mianowicie, że przed południem nie pojedę do niej i oto teraz, co chwila zbliżam się do okna, by zobaczyć, czy słońce jeszcze wysoko...

Nie mogłem się przezwyciężyć, musiałem być u niej. Wróciłem już teraz, zabieram się do swej skromnej wieczerzy i do pisania do ciebie. O, jakąż mi to sprawia rozkosz patrzeć na nią, krzątającą się pośród miłych, zwawych dzieciaków, pośród ośmiorga rodzeństwa, jakie posiada!...

Czuję, że nie dowiesz się niczego, jeśli będę w ten sposób pisał dalej. Słuchaj tedy, zmuszę się bowiem wniknąć we wszystkie szczegóły.

Pisałem ci już, że poznałem komisarza S. i donosiłem, iż prosił mnie, bym go odwiedził niedługo w jego pustelni, czyli raczej w jego małym królestwie. Zaniedbałem uczynić tego i pewnie nigdy nie byłbym się tam pokazał, gdyby przypadek nie odkrył mi skarbu, jaki się kryje w owym zakątku.

Młodzież miejscowa urządziła zabawę wiejską, zaproszono mnie, a ja zgodziłem się ochotnie wziąć udział. Danserką moją została pewna ładna, przeciętna zresztą panienka tutejsza i postanowiliśmy, że weźmiemy powóz i pojedziemy razem z kuzynką mej damy na miejsce zabawy, zabierając po drodze Karolinę S. — Zobaczysz pan śliczną

dziewczynę! — powiedziała mi moja towarzyszka, gdyśmy się zbliżali do leśniczówki drogą wyciętą w wysokopiennym lesie. — Tylko nie zakochaj się pan broń Boże! — ostrzegła kuzynka. — Dlaczegoż to? — spytałem. — Zaręczona jest z pewnym zacnym człowiekiem. Wyjechał właśnie, w celu doprowadzenia do porządku spraw rodzinnych po śmierci ojca oraz wystarania się o wybitne stanowisko! — dodała moja danserka. Wiadomość ta była mi zgoła obojętna.

Na dobrą chwilę przed zachodem słońca stanęliśmy przed bramą wjazdową leśniczówki. Powietrze było parne i dziewczęta obawiały się, że może nadejść burza. Szarawe, ciężkie chmurki zaczęły się też w istocie snuć wokół po widnokręgu. Starąłem się rozprószyć ich przewidywania, popisując się rzekomymi wiadomościami mymi z zakresu meteorologii, ale sam miałem przeczucie, że zabawa nasza ulec może nie lada katastrofie.

Wysiadłem, a służąca, która zjawiała się u bramy, poprosiła, byśmy się na chwilę zatrzymali, bo panna Lota zaraz przybędzie. Przeszedłem podwórze, zbliżyłem się do okazałego domu, wstąpiłem na schody i stanąłem w drzwiach, a wówczas oczom moim przedstawił się tak uroczy obraz, jakiego dotąd w życiu może nie widziałem. W obszernej komnacie cisnęło się sześcioro dzieci, w wieku od jedenastu do dwu lat do dziewczyny średniego wzrostu, zgrabnej postaci, ubranej w białą sukienkę z blad różowymi kokardami na ramieniu i u gorsu. W rękach trzymała bochenek ciemnego chleba i krajała dzieciom kromki, których wielkość zastosowana była do wieku i apetytu każdego z nich. Rozdawała je z serdecznością wokół, a dzieci, trzymając rączki długo wzniesione w górę, zanim kromka została odkrojona, wołały potem: — Dziękuję! — i odbiegały wesoło, lub też odchodziły spokojnie, stosownie do swego usposobienia, ku bramie wjazdowej, by obejrzeć przybyłych i powóz, który miał zabrać ich Lotę.

— Proszę mi wybaczyć, — powiedziała — że pana fatyguję aż tutaj, a pozwalam czekać paniom. Ale z powodu ubierania się, różnych zajęć domowych i zarządzeń na czas mej nieobecności, zapomniałam dać podwieczorku mojej gromadce, a dzieci domagają się, bym im sama wydzielała kromki. — Powiedziałem jej kilka słów pochlebnych bez znaczenia, a duszą zawisłem na jej postaci, intonacji głosu, ruchach i zaledwie miałem czas przyjść do siebie ze zdziwienia, gdy wybiegła do drugiego pokoju po rękawiczki i wachlarz. Malcy patrzyli na mnie z oddali, rzucając spojrzenia nieufne. Zbliżyłem się do najmłodszego o bardzo miłej twarzyczce. Cofnął się właśnie w chwili, gdy Lota stanęła z powrotem w drzwiach i powiedziała: — Ludwiczku, podaj kuzynkowi

rączkę! — Chłopiec uczynił to ochotnie, a ja nie mogłem się powstrzymać od serdecznego ucałowania malca, mimo jego umorusanego noska. — Więc jestem kuzynkiem? — powiedziałem, podając jej rękę. — Czy sądzi pani, że zasługuję na to szczęście? — O, proszę pana, — odparła, uśmiechając się swobodnie, — rodzina nasza jest tak rozgałęziona, że byłoby mi przykro wyłączać pana z niej! Idąc już ku wyjściu, poleciła Zosi, najstarszej po sobie, jedenastoletniej może dziewczynce, by pilnie baczyła na dzieci i by pozdrowiła ojca, gdy wróci z przejażdżki. Malcom przykazała słuchać we wszystkim Zosi, jakby była nią samą, a kilkoro przyrzekło to uroczyście. Mała, przekorna blondyneczka w wieku około sześciu lat zauważyła: — A przecież ona nie jest tobą, Lotko! My ciebie bardziej kochamy! Dwaj najstarsi chłopcy uczepliali się powozu z tyłu, a na moje wstawiennictwo pozwoliła im Lota jechać razem z nami aż do lasu, pod warunkiem, że nie będą się sprzeczali i będą się trzymać dobrze pojazdu.

Zaledwieśmy się należycie usadowili, kobiety się przywitały i poczyniły wstępne spostrzeżenia co do strojów, zwłaszcza kapelusików oraz zlustrowały towarzystwo, jakie się spodziewano zastać, gdy Lota kazała się woźnicy zatrzymać i wezwała braci, by zsiadli. Chcieli ucałować raz jeszcze jej rękę, starszy uczynił to z wylaniem właściwym wiekowi lat piętnastu, młodszy popędliwie i lekkomyślnie. Posłała raz jeszcze pozdrowienie rodzeństwu i pojechaliśmy dalej.

Kuzynka spytała ją, czy skończyła czytać książkę, jaką jej niedawno posłała. — Nie, — odrzekła Lota — nie podoba mi się! Mogę ją zaraz zwrócić. Poprzednia nie była też lepsza! — Zdumiony byłem, dowiedziawszy się, co to za książki i posłyszawszy jej odpowiedź. Wszystko, co mówiła, nosiło piętno indywidualne, w każdym słowie odkrywałem nowe powaby, na twarzy jej rozbłyskały światła ducha i jaśniały w całej pełni, odczuwała bowiem instynktownie, że ją rozumiem.

— Za młodszych lat — mówiła — przepadałam za powieściami. O, jakże miło było usiąść sobie w niedzielę w jakimś kąciku i utonąć myślą w zmiennych kolejach losu jakiejś miss Jenny. Nie zapieram się, że i dziś jeszcze lektura tego rodzaju ma dla mnie dużo uroku. Ponieważ jednak rzadko mi się zdarza zdobyć książkę, tedy musi ona odpowiadać w zupełności moim upodobaniom. Najmilszym jest mi autor, w którym odnajduję własny świat, który kreśli stosunki podobne tym, pośród jakich żyję, którego opowieść budzi we mnie takie samo serdeczne zainteresowanie, jakie mi daje własne codzienne życie, nie będące, co prawda, rajem, które jest jednak dla mnie w gruncie rzeczy źródłem niewysłowionej szczęśliwości.

Staralem się ukryć wzruszenie tymi słowami wywołane. Co prawda, nie bardzo mi się to udało, bo kiedy zaczęła mimochodem, ale z niezwykle zrozumieniem, mówić o Pastorze z Wakefieldu..., o..., nie mogłem wytrzymać i powiedziałem jej wszystko, co wiedziałem. Po dobrej dopiero chwili, gdy Lota zwróciła się do kogoś innego, spostrzegłem, że reszta towarzystwa siedziała przez cały czas z otwartymi oczyma, niema, jakbyśmy byli sami. Kuzynka spojrzała na mnie raz i drugi, robiąc ironiczną minę, ale było mi to zupełnie obojętne.

Rozmowa zeszła na uciechy tańca. — Jeśli nawet ta namiętność jest wadą, — powiedziała Lota — wyznaję otwarcie, że nie znam niczego miłszego nad taniec. Ile razy mi coś dolega, zaraz bębnię sobie na mym rozstrojonym fortepianiku kontredansa i wszystko staje się na nowo znośnym.

O, jakże, podczas gdy mówiła, poilem się blaskiem jej czarnych oczu! Jakże pociągały mą duszę żywe jej usta i świeże policzki, jakże wtapiałem się w cudną treść jej słów, nie słysząc nawet często wyrażań, w jakie przybierała swe myśli! Musisz sobie to wyobrazić dobrze, znasz mnie bowiem. Słowem, wysiadłem z powozu odurzony i kiedyśmy stanęli przed budynkiem, tak dalece zapadłem w półcieniu świata snów, że nie zwracałem niemal uwagi na muzykę, dolatującą z oświetlonej rzeszście balowej sali.

Dwaj panowie, Audran i niejaki N. N. — któż zdoła spamiętać tyle nazwisk — będący danserami Loty i kuzynki, przybiegli do powozu, porwali swoje damy, a ja również wprowadziłem do sali tę, która mi przypadła w udziale.

Sunęliśmy w skrętach menueta wokół siebie, ujmowałem dłonie jednej kobiety po drugiej, a zdarzało się, że właśnie najmniej powabne ociągały się, tak, że nie można było często dojść do ładu, by skończyć w porę figurę. Lota z danserem swoim rozpoczęła angleza, a możesz sobie wyobrazić, jakie mną owładnęło uczucie, gdy w toku figury zbliżyła się z kolei do mnie. Niezrównanie wygląda w tańcu! Oddaje mu się całą duszą i całym sercem, ciało jej nabiera niewysłowionej harmonii, staje się beztroską, swobodną, jakby taniec był dla niej wszystkim, jakby nie myślała o niczym innym, niczego poza tym nie odczuwała i zaprawdę w tej chwili wszystko znika sprzed jej oczu.

Poprosiłem o drugiego kadryla, przyrzekła mi trzeciego i z powabną otwartością zapewniła mnie, że ponad wszystko przepada za walcem. — Panuje tu zwyczaj — mówiła — że para, należąca do siebie, tańczy ze sobą walca. Ale mój kawaler walcuje nieszczególnie i bardzo wdzięcznym mi będzie, gdy go zwolnię z tego trudu. Pańska danserka również nie umie i nie lubi tego tańca, pan natomiast, jak to zauważyłam w anglezie, dobrze tańczy. Jeśli mamy tedy zatańczyć walca ze sobą, to proszę, niech pan

idzie do mego dansera i poprosi go, by panu ustąpił, ja zaś udam się do pańskiej damy. Przyrzekłem, że tak uczynię i ułożyliśmy, że jej kawaler przez czas trwania walca będzie zabawiał moją danserkę.

Znowu zaczął się taniec i przez czas jakiś zabawialiśmy się splataniem i rozplataniem ramion. Z jakimże powabem, z jaką lekkością poruszała się! A gdy przyszło do walca i zaczęliśmy się toczyć dokoła siebie, niby dwie kule, szło nam zrazu nieskładnie, gdyż większość tańczących nie umiała tańczyć walca, z czego powstał pewien zamęt. Uczyniliśmy roztropnie i pozwoliliśmy się im wyhasać. Gdy najniezdarniejsi usunęli się z pola, zaczęliśmy wirować i wraz z drugą parą, Audranem i jego danserką, trzymaliśmy się mężnie. Nigdy mi dotąd nie szło tak dobrze. Nie czułem się istotą ludzką. Trzymałem w objęciach niezrównane stworzenie, szalałem niby burza, miotająca się wokół i oto... na uczciwość powiadam ci, uczyniłem ślub, że nie zezwolę pod żadnym warunkiem, choćby szło o me własne życie, by dziewczyna, którą będę kochał, do której będę miał prawo, tańczyła walca z kimś innym poza mną. Wszak mnie rozumiesz!

Obeszliśmy następnie kilka razy salę wkoło, by odetchnąć, potem usiadła, a pomarańcze, ostatnie, jakie mi się udało jeszcze zdobyć, orzeźwiły ją doskonale. Tylko za każdym kawaleczkiem, jakim częstowała z grzeczności swą natrętną sąsiadkę, uczuwałem ukłucie w sercu.

W trzecim kadrylu byliśmy drugą z rzędu parą. Podczas gdyśmy przebiegali szeregi tancerzy w jakiejś figurze, a ja, trzymając jej ramię, z oczyma w niej utkwionymi, z niewysłowioną rozkoszą poilem się malującym się w całej jej postaci wyrazem najszczerzego i najczystszej radości, zbliżyliśmy się do jednej z dam, która zwróciła mą uwagę ujmującymi rysami niemłodej już twarzy. Na widok Loty dama owa uśmiechnęła się i grożąc palcem, z naciskiem powtórzyła kilka razy imię Albert, co pochwyciłem uchem w przelocie.

— Któż to jest Albert, jeśli wolno spytać, nie dopuszczając się zuchwalstwa? — powiedziałem do Loty. Zamierzała mi odpowiedzieć, ale w tejże chwili musieliśmy się rozstać, by uformować wielką ósemkę. Kiedyśmy się za chwilę na moment zetknęli, dostrzegłem jakby cień zamyślenia na jej czole. — Nie mam potrzeby kryć się z tym, — powiedziała, podając mi dłoń do promenady. — Albert, jest to zacny człowiek, z którym jestem niemal po słowie. — Nie było to dla mnie nowością (wszakże poinformowały mnie już o tym w drodze me towarzyszek), a jednak było to dla mnie niespodzianką, gdyż nie wiązałem dotąd w myśli tej wiadomości z istotą, która od chwil niewielu stała mi się

tak bliską i drogą. Zmieszałem się do tego stopnia, że wszedłem w niewłaściwą parę. Z tego powstał istny chaos, który tylko przytomność umysłu Loty, lekkie popchnięcia i pociągnięcia, jakich się jęła żywo, rozwikłać były zdolne.

Jeszcze się nie skończył taniec, gdy wzmożły się błyskawice, od dawna rozdzierające firmament, a przeze mnie tłumaczone jako przebłyski zorzy północnej, a grzmoty rozgłośnie przygłuszyły muzykę. Trzy danserki ulotniły się z szeregów, a za nimi podążyli kawalerowie. Powstało zamieszanie, a muzyka grać przestała. Zwykła to rzecz, że jeśli coś niepomyślnego albo groźnego zdarzy nam się podczas zabawy, oddziaływa na nas silniej, niż zazwyczaj, już to przez kontrast, ujawniający się żywo, już to skutkiem tego, że zmysły nasze pobudzone są wówczas do sprawniejszego przyjmowania wrażeń. Przyczynom tym przypisać muszę różnorodne, przedziwne gesty, jakie zauważyłem u kobiet. Najroztropniejsza usiadła tyłem do okna i zatkała uszy. Inna klękała przy niej i ukryła twarz na jej kolanach. Trzecia wcisnęła się pomiędzy obie i objęła swe siostry, płacząc rzewnie. Kilka wybierało się na gwałt z powrotem do domu. Wreszcie niektóre do tego stopnia straciły świadomość tego, co czynią, że pozwalały obejmować się bez oporu młodym ludziom i całować w usta, szepczące błagalne modlitwy, które z tego powodu nie mogły ulatywać w niebiosy. Kilku mężczyzn udało się do przedsionka dla wypalenia w spokoju fajeczek, a całe towarzystwo przyklasnęło mądrym pomysłowi gospodyni, która ofiarowała się zaprowadzić nas do pokoju, opatrzonego w firanki i okiennice. Gdyśmy się tam znaleźli, Lota ustawiła co prędzej krzesła w krąg, a kiedy wszyscy na jej prośbę zajęli miejsca, zaproponowała grę towarzyską.

Spostrzegłem, że niejednen w oczekiwaniu ponętnego fantu nastawiał już usta i poruszał się z ożywieniem.

Zagramy w liczby! — powiedziała Lota. — Proszę uważać! Będę obchodzić wszystkich od prawej strony ku lewej, a państwo musicie „wymieniać tę liczbę, która na każdego przypadnie. Tak będzie szło w kółko, aż do tysiąca, ale prędko, piorunem. Kto się zawaha, albo zmyli, dostanie po buzi. Wszyscy się rozbawili. Szła prędko z wyciągniętą ręką. — Raz — zaczął pierwszy — dwa — podjął drugi — trzy — krzyknął trzeci i poczęły się sypać liczby coraz to prędzej. Nagle ktoś się pomylił... pac... dostał w twarz, zaczęto się śmiać i zaraz drugi otrzymał policzek. Liczby sypały się teraz z zawrotną chyżością, ja sam dostałem dwa policzki i zdawało mi się, ku wielkiemu memu zadowoleniu, że były o wiele silniejsze, niż te, którymi obdzielała innych. Ogólny śmiech i gwar zakończył grę, jeszcze zanim osiągnięto tysiączki. Bliżsi znajomi porozchodzili się parami tu i owdzie, burza minęła, ja wraz z Lotą poszliśmy do sali

tanecznej. — Zapomniałeś pan — powiedziała — o burzy i wszystkim skutkiem tych policzków, prawda? — Nie mogłem wyrzec ni słowa. — Bałam się — dodała Lota — bardziej od innych może, ale wzięłam na odwagę, chcąc dodać innym otuchy i przezwyciężyłam w ten sposób strach!

Zbliżyliśmy się do okna. Grzmiało jeszcze w oddali, cudny, rześisty deszczyk siekł pola, a orzeźwiający zapach, przepajający ciepłe powietrze, płynął ku nam falą. Oparła się na łokciu, zapatrzyła w krajobraz, potem spojrzała w niebo, na koniec na mnie. Ujrzałem łzy w jej oczach, dotknęła dłonią mej dłoni i szepnęła: — Pamiętasz pan Klopstocka? — Przypomniałem sobie natychmiast precudną Odeę, o której myślała i zatopiłem się we fali wrażeń, wywołanych onym hasłem. Nie mogąc się przezwyciężyć, pochyliłem się i ucałowałem gorąco jej rękę, oblewając ją łzami upojenia. Potem spojrzałem znowu w jej oczy... O, wielki poeto, cóż bym dał za to, byś mógł widzieć ubóstwienie zawarte w tym spojrzeniu i cóż bym ja dał za to, by nie słyszeć bluźnierstw, tak często miotanych na ciebie.

19 czerwca

Nie wiem już doprawdy, na czym skończyłem poprzednią swą opowieść, wiem tylko, że dopiero o drugiej w nocy znalazłem się w łóżku, i gdybym mógł gawędzić z tobą miast pisać, przetrzymałbym cię pewnie do białego rana.

Nie opowiadałem ci jeszcze, co się działo podczas powrotu naszego z balu i dziś nie mam na to czasu.

Był precudny wschód słońca. Otaczał nas ociekający deszczem las i orzeźwione pola! Towarzyszki nasze zdrzemnęły się. Lota spytała, czy bym nie zechciał naśladować ich, nie krępując się jej obecnością. — Jak długo spoglądam w oczy pani — odrzekłem, patrząc na nią znacząco — nie zachodzi niebezpieczeństwo zaśnięcia! — Trzymaliśmy się oboje dzielnie aż do leśniczówki. Służąca otworzyła bramę i na jej zapytanie odrzekła, że zarówno ojciec, jak i dzieci mają się dobrze i wszyscy śpią smacznie. Pożegnałem ją, uprosiwszy, by mi pozwoliła odwiedzić się dzisiaj jeszcze. Zgodziła się, pojechałem, a od tego czasu niech sobie słońce, księżyc i gwiazdy robią co chcą, nie wiem, czy dzień jasny, czy noc na ziemi, a świat cały znikł z mej świadomości.

21 czerwca

Przeżywam dni tak szczęsne, jakimi pewnie Bóg obdarza swych świętych i cokolwiek by się potem ze mną stało, nie będę śmiał zaprzeczać, iż nie dostało mi się w udziale szczęście, najczystsze szczęście życia. Znasz już moje Wahlheim, otóż osiedliłem się tutaj na dobre, bowiem dzieli mnie tu od Loty jeno pół godziny drogi, tutaj żyję sam ze sobą i z niewysłowionym szczęściem, najwyższym, jakiego doznawać może człowiek.

Czyż mogłem przypuszczać, obierając Wahlheim za cel przechadzek, że położone jest ono tak blisko nieba? Ileż razy oglądałem swą leśniczówkę, ku której biegną teraz wszystkie pożądania moje, podczas dalekich wędrówek już to z góry, już od strony doliny, patrząc na nią z drugiej strony rzeki!

Drogi Wilhelmie, rozmyślałem długo nad popędem ludzkim zdobywania coraz nowych dziedzin, czynienia nowych odkryć, wałęsania się z miejsca na miejsce i przekonałem się, że nadchodzi powrotna fala, wewnętrzny pęd ochotnego poddawania się ograniczeniom, pożądanie nawrotu do utartych ścieżek nawyku, bez troski o to, co mamy po prawicy, czy lewicy swojej.

To dziwne zaprawdę! Gdym tu jeno przybył i spojrzał ze wzgórza w uroczą dolinę, doznałem nieprzепartego pociągu. — Oto lasek! — mówiłem sobie. — Jakżeby rozkosznie było zatonać w jego cieniach! — A tam szczyt góry! Jakże uroczy musi być stamtąd widok w dolinę? — W dali wylania się cały łańcuch, zachodzących na siebie wzgórz! O, jakżeby miło było tam wędrować i błądzić.

Pobiegłem tam i wróciłem, nie znalazłem tego bowiem, czego szukałem. Oddal, zaprawdę, podobną jest do przyszłości. Przed oczyma duszy naszej widnieje nikły zarys całości, a uczucie nasze, zarówno, jak spojrzenie, gubią się w tym majaku. Tęsknimy, ach, jakże pragniemy wtopić się w to całą naszą istotą, nasiąknąć nieogarnioną rozkoszą, cudnego uczucia pełni i dosytu. Ach! Gdy przybiegniemy blisko, kiedy — tam — zmieni się w — tu, — wszystko wraca do poprzednich kształtów, stoimy zbiedniali, ograniczeni, a dusza łaknie nektaru, który znikł bezpowrotnie.

Bezdomny włóczęga stęskni się też w końcu za swoją ojczyzną i odnajdzie w chatce swojej, na łonie żony, pośród dzieci swoich i w zabiegach podjętych dla ich utrzymania, ową rozkosz, której szukał w dalekim świecie nadaremnie.

Rankiem, równo ze świtaniem, podążam ku memu Wahlheimowi, tam rwę w ogrodzie gospody groch cukrowy, potem siadam i łuskam go, czytając przy tym Homera. Następnie wyszukuję sobie w kuchni garnuszek, wkładam weń kawałek

masła, przystawiam groch do ognia, przykrywam i siadam w pobliżu, by od czasu do czasu zamieszać. W takich chwilach doznaję żywo tych samych wrażeń, jakie przeżywali rozzuchwaleni wielbiciele Penelopy, rznący woły i wieprze, by potem rozebrać mięso i piec lub smażyć. Nic mnie tak nie przepaja cichym wrażeniem prawdy, jak owe szczegóły życia patriarchalnego, które, dzięki Bogu, bez fałszywej afektacji, mogę spleść z tokiem własnego życia.

O, jakże szczęśliwym się czuję, że serce moje odczuwać może ową pełną prostoty radość człowieka, kładącego na własnym stole wyhodowaną przez siebie główkę kapusty, rozkoszującego się nie tylko nią samą, ale wspomnieniem wszystkich owych miłych dni i cudnych poranków, kiedy ją sadził, onych wieczorów, kiedy ją podlewał i cieszył oczy jej wzrostem i rozwojem, ujętymi w jeden jedyny moment przeżycia.

29 czerwca

Przedwczoraj zjawił się w domu komisarza, przybyły z miasta lekarz i zastał mnie siedzącego na ziemi pośród dzieci Loty. Kilkoro wspinało się po moich plecach, inne przekomarzały się ze mną, ja zaś laskotałem to, które mogłem dosięgnąć, pobudzając je do niesłychanego wrzasku. Doktor jest sztywnym manekinem, rozmawiając, poprawia sobie manszety, układając je we fałdy oraz kręci się i skubie bezustannie swe ubranie. Poznałem po jego nosie, że postępowanie me uznał za niegodne rozsądnego człowieka. Nie zwracałem zgoła uwagi na jego niezmiernie mądre wywody i podczas gdy mówił, stawiałem dzieciom na nowo domki z kart, które poprzewracały. Udał się niebawem do miasta i rozgłosił, że Werter psuje do reszty dzieci komisarza i bez tego najokropniej w świecie rozzuchwalone i niesforne.

Tak, drogi Wilhelmie, dzieci są sercu memu najbliższe na ziemi. Patrząc na nie, dostrzegam w onych małych istotkach zarodki wszystkich tych zalet i sił, których im tak rychło będzie potrzeba. W uporze ich doszukuję się przyszłej stałości i siły charakteru, w zbytkach humoru i owej nieocenionej zdolności przemknięcia mimo niebezpieczeństw, jakie gotuje życie; widzę to wszystko w pełni istnienia nietknięte i nie zepsute, a wówczas powtarzam sobie zawsze, raz po razu złote słowa nauczyciela ludzkości: — Bądźcie, jako jedno z tych maluczkich! — A pomyśl mój drogi tylko... oto miast traktować je, jako pierwowzory nasze, postępujemy z dziećmi, jak z niewolnikami! Czyż nie mają mieć swej woli! Wszakże my robimy, co nam się podoba, skądże tedy prawo do przywileju takiego? Stąd, że jesteśmy starsi i rozsądniejsi? Wielki

Boże, z nieba swego spoglądasz na same jeno stare i młode dzieci, bo poza tym nie ma nic, zaś syn twój od dawna już obwieścił wszystkim głośno, które z nich przypadają ci lepiej do serca. Niestety ludzie wierzą w Boga, a nie słuchają jego słów... to stare jak świat... a przeto wychowują swe dzieci na swe własne podobieństwo! Bywaj zdrów, Wilhelmie, pora skończyć tę całą gadaninę.

1 lipca

Czym Lota może być dla chorego, to ocenić mogę miarą własnego biednego serca mego, w gorszym będącego stanie, niż niejedno dogorywające na śmiertelnym łożu. Spędzi kilka dni u pewnej zacnej kobiety, której koniec zbliża się wedle zdania lekarzy, bo chora chce mieć przy sobie Lotę w swych chwilach ostatnich. Byłem z nią razem zeszłego tygodnia w odwiedzinach u pastora w St..., małej wiosce, położonej w górach o godzinę drogi stąd. Przybyliśmy na miejsce około czwartej we troje, bo Lota zabrała ze sobą siostrę. Gdyśmy weszli do plebanii, ocienionej dwoma rozłożystymi orzechami, siedział zacny kapłan na ławce pod domem. Ujrzawszy Lotę, ożywił się niezmiernie, zerwał się i zapominając o lasce, chciał biec ku niej. Pospieszyła doń, usadowiła z powrotem na ławie, usiadłszy przy nim, złożyła mu serdeczne pozdrowienie od ojca i uściśkała brzydkiego, umorusanego malca, będącego ulubieńcem jego starości. Szkoda, że nie widziałeś, jak się krzątała koło starca, jak wysilała się, by mówić głośno, tak, by mógł słowa jej pochwycić na poły ogłuchłymi uszama, jak przytaczała przykłady niespodziewanej śmierci wielu młodych, silnych ludzi, jak wychwalała mu cudowne zalety Karlsbadu i chwaliła jego zamiar udania się tam następnego lata. Poza tym zapewniała, że wygląda nierównie lepiej i że jest dużo zwawszy, niż był czasu ostatniej jej bytności, a ja tymczasem złożyłem swe uszanowanie pastorowej. Starzec rozruszał się na dobre, a ponieważ nie mogłem pominąć sposobności pochwalenia pięknych drzew orzechowych, dających nam tak miły cień, zaczął nam tedy nie bez pewnych trudności opowiadać ich dzieje.

— Nie wiadomo — mówił — kto zasadził ten stary orzech. Powiadają, że ten, to znów inny pastor. Ale owo młodsze drzewo ma tyle lat, co moja żona, a więc w październiku skończy lat pięćdziesiąt. Ojciec jej zasadził je rankiem tegoż dnia, w którym wieczorem przyszła na świat. Był moim poprzednikiem na stanowisku proboszcza, a trudno wysłować, jak bardzo miłował ten orzech. Ja go również bardzo kocham. Żona moja siedziała pod nim na belce i robiła pończochy w chwili, kiedy w podwórzu zjawił się tu

po raz pierwszy biedny studencik. Było to dwadzieścia pięć lat temu. — Lota przerwała mu pytaniem, gdzie jest jego córka. Odpowiedział, że poszła z panem Schmidtem na łąkę pilnować sianokosu, a potem ciągnął dalej, opowiadając, jak jego poprzednik go polubił, a także i jego córka, i jak został zrazu jego pomocnikiem, a potem następcą. Opowiadanie nie zbliżało się nawet jeszcze do końca, gdy od strony ogrodu nadeszła pastorówna z tak zwanym panem Schmidtem. Przywitała się z Lotą bardzo serdecznie i przyznać muszę, że mi się dosyć spodobała. Była to ruchliwa, rosła brunetka, mogąca przez czas krótki stanowić niezłe towarzystwo dla kogoś, spędzającego lato na wsi. Jej wybrany (gdyż w tej roli przedstawił się niebawem pan Schmidt) był to skromny, cichy człowieczek, nie chcący mieszać się do naszej rozmowy, mimo że Lota zaczepiała go raz po raz. Zasmuciło mnie spostrzeżenie, jakie uczyniłem, a mianowicie, że upór i zły humor bardziej, niż ciasnota umysłu czyniły go mało towarzyskim, co wyczytałem w rysach jego twarzy. Okazało się to niezadługo aż nadto wyraźnie, bo oto, gdy Fryderyka udała się z Lotą, a przeto pośrednio także ze mną, na przechadzkę, oblicze tego pana, z natury już smagłe, pociemniało tak niewątpliwie i oczywiście, iż Lota spostrzegłszy to, musiała mnie pociągnąć za rękaw i dać mi do zrozumienia, iż zbyt nadskakuję Fryderyce. Nic mnie bardziej nie martwi, jak widok ludzi dręczących się wzajem, nie mogę zwłaszcza znieść, gdy ludzie młodzi w rozkwicie samym życia będący, najwrażliwsi na wszelkie radości, psują sobie te kilka dni wesela, jakie mają przed sobą, grymasami, a dopiero, gdy minie to, czego nie sposób powetować, przekonują się, że byli marnotrawcami. Gryzło mnie to i gdyśmy wieczorem wrócili na plebanie, zasiedli do mleka, a rozmowa skierowała się na radości i niedole życia, nie mogłem się przewyciężyć, by nie podjąć tego wątku i nie wypowiedzieć szczerze, co sędzę o złym humorze. — My ludzie — powiedziałem — żalimy się często, że tak mało przeżywamy miłych dni, a tak dużo złych, ale moim zdaniem bez żadnej podstawy. Mielibyśmy dość siły znosić zło, gdy nadejdzie, gdybyśmy zawsze szczerym sercem umieli używać tego dobra, jakie nam Bóg daje co dnia. — Niestety, nie mamy władzy nad sercem naszym — zauważyła pastorówna, — dużo zależy od ciała. Jeśli ktoś się źle czuje, nie może się niczym radować. — Przyznałem jej słusność. — Przeto — mówiłem dalej — uznajmy to za rodzaj choroby i zapytajmy, czy nie ma na nią lekarstwa? — Trafne określenie, — odrzekła Lota — ja zaś sędzę, że wiele zależy od nas samych. Biorę przykład ze siebie. Gdy mi coś dolega i drażni, biegnę do ogrodu, śpiewam kilka kontredansów i już po całej biedzie! — To właśnie miałem na myśli — powiedziałem. — Zły humor, to zupełnie jak lenistwo, jest on nawet pewnym rodzajem lenistwa. Natura nasza skłania się bardzo

ku niemu, ale jeśli tylko zdobędziemy się na odwagę otrząśnienia się z tego, to praca idzie nam, jak z płatka i znajdujemy we własnej działalności prawdziwe zadowolenie. — Fryderyka słuchała bardzo uważnie, a młody człowiek zarzucił mi, że człowiek nie włada sobą, nie może zwłaszcza być panem swych uczuć. — Mowa tutaj — odrzekłem — o niemiłych uczuciach, których każdy się rad pozbyć, a nikt nie wie, jak daleko sięgają jego siły, zanim je wypróbuje. Niezawodnie, człowiek chory będzie się radził wszystkich lekarzy wokoło, podda się wszelkim ograniczeniom i zniesie najgorsze lekarstwa, byle tylko odzyskać upragnione zdrowie. — Zauważyłem, że staruszek wysiła słuch, by wziąć udział w naszej rozmowie, toteż podniosłem głos i zwróciłem się wprost do niego. — Głoszą kazania przeciw rozmaitym występkom — powiedziałem — ale nie słyszałem dotąd, by ktoś gromił z kazalnicy zły humor. — Takie kazania — rzekł starzec — powinni wygłaszać kaznodzieje miejscy, chłopci nie cierpią na zły humor. Ale nie zaszkodziłoby to czasem, bowiem byłoby dobrą lekcją dla mojej żony i pana Schmidta. — Całe towarzystwo roześmiało się, a starzec wraz z innymi, aż dostał kaszlu, który na chwilę przerwał rozmowę. Potem zabrał głos młody człowiek. — Nazwałeś pan — zaczął — występkiem zły humor, a mnie się to wydaje przesadą! — Dlaczegoż to? — spytałem. — Wszakże to, co szkodzi nam samym i bliźnim naszym, zasługuje na takie miano! Nie dosyć, że nie możemy się wzajem uszczęśliwiać, ale w dodatku pozbawiamy się wzajemnie owej radości, jaką może dać każdemu własne jego serce! Czyż możesz mi pan wymienić bodaj jednego człowieka, który by miał na tyle męstwa, by ukryć własny zły humor i cierpiąc sam, nie niweczył pogody innych? Jest to raczej wewnętrzne odczucie własnej niegodności, niechęć do siebie samego i obrzydzenie, zawsze połączone z zazdrością i podbechtane pychą! Widzimy wokół ludzi szczęśliwych, którym nie my daliśmy owo szczęście i to nas gnębi niezmiernie!

Lota, widząc zapał, z jakim mówiłem, uśmiechnęła się do mnie, spostrzegłem też łzę w oku Fryderyki i to mnie podnieciło. — Biada temu, — zawołałem — kto nadużywa przewagi, jaką nad sercem drugiego posiada, w tym celu, by pozbawić go radości, kielkującej na dnie jego serca. Żaden podarunek, żadna przysługa nie są w stanie zastąpić radości, której nas pozbawiła zawistna niechęć naszego tyrana.

Serce moje było w tej chwili wezbrane uczuciem, wspomnienia różnych przeżyć cisnęły mi się do duszy, a łzy napełniły oczy.

— Pragnę, — zawołałem z entuzjazmem — pragnę, by każdy z nas powtarzał sobie co dnia: Nie możesz niczym bardziej przysłużyć się swym przyjaciołom, jak tym, że nie popsujesz im ich radości, owszem, powiększysz ją, biorąc w niej udział. Czyż możesz

bodaj najmniejszą przynieść im ulgę, gdy duszę ich dręczy skryta namiętność, gdy draży ją i niszczy troska?

A pomyśl, co będzie, gdy na istotę, której szczęście podkopałeś w chwili rozkwitu, przyjdzie ostatnia, straszna choroba i gdy zlegnie w strasznym wyczerpaniu z okiem bez czucia utkwionym w niebo, z czołem uznojonym śmiertelnym potem? Cóż uczynisz, stojąc u jej łoża jak potępieniec, w głębokim poczuciu, że nie możesz nic pomóc, mimo całego swego majątku, a strach cię ułapi za trzewia, tak, że oddałbyś wszystko, byle tej ginącej istocie ludzkiej dać najdrobniejszą ulgę i wlać w nią iskrę bodaj otuchy?

Wspomnienie podobnej sceny, której byłem świadkiem, owładnęło mną w chwili wymawiania tych słów z siłą niezmierną. Zakryłem chustką oczy, odszedłem na bok i dopiero głos Loty, wzywającej do powrotu, przywrócił mi równowagę. O, jakże mnie łajała w drodze za to nadmierne przejmowanie się każdą rzeczą, jak ostrzegała, bym się szanował, gdyż mogę przez to pójść na marne! O ty aniele! Dla ciebie żyć pragnę!

6 lipca

Przebywa u łoża konającej przyjaciółki, ciągle ta sama, ciągle czujna, niebiańska istota, ustawicznie gotowa, gdziekolwiek rzuci okiem, nieść ulgę w cierpieniu i krzewić szczęście pośród ludzi. Wczoraj wieczorem udała się na przechadzkę z Marianną i małą Melką. Wiedziałem o tym, spotkaliśmy się i poszliśmy razem. Po upływie półtorej godziny znaleźliśmy się z dala od miasta, przy studni tak milej mi, a stokroć droższej od tej pory. Lota usiadła na przymurku, myśmy stali przed nią. Rozglądnąłem się wokół i w pamięci odżyło wspomnienie owego czasu, kiedy serce me było tak samotne. — Droga studnio — powiedziałem do siebie, — od dawna już nie spocząłem w twym cieniu, często nie dostrzegałem cię nawet, szparko mimo ciebie bieżąc! — Spojrzałem na dół i spostrzegłem Melkę, idącą pospiesznie po schodach z napełnioną wodą szklanką. Objąłem wzrokiem Lotę i odczułem, czym jest dla mnie. Melka zbliżyła się z wodą, a Marianna chciała ją wziąć z jej rąk. — Nie! — zawołało dziecko, robiąc powabną minkę. — Ty Loteczko musisz napić się pierwsza! — Byłem tak zachwycony owym, z głębi serca idącym, serdecznym okrzykiem, że musiałem dać wyraz swym uczuciom, podniosłem przeto do góry i ucałowałem gorąco małą, która zaczęła natychmiast płakać i krzyczeć. — Żle pan postąpiłeś! — powiedziała Lota, a ja zmieszałem się. — Chodź Melko, — ozwała się, biorąc dziewczynkę za rękę i sprowadzając ją na dół po schodach — umyj się, umyj prędko buzię świeżą wodą... prędko... prędko... a wszystko będzie dobrze. —

Stała i przyglądała się, jak dziecko tarło uporczywie buzię mokrymi rączkami, wierząc silnie, że cudowne źródło zmyje wszelką zmazę i nie dopuści okrutnej hańby posiadania szkaradnej brody. — Dosyć! Dosyć! — powiedziała Lota. — Ale Melka myła się dalej zapamiętale, pamiętając snąć, że dobrego nigdy nie może być za dużo. Mówię ci, Wilhelmie, nie patrzyłem nigdy z większym szacunkiem na obrzęd chrztu, a gdy Lota znalazła się na górze, omal nie padłem przed nią na kolana, niby przed prorokiem, który zgładził winy całego narodu.

Uniesiony rozradowaniem wewnętrznym nie mogłem się powstrzymać i wieczór opowiedziałem to zdarzenie pewnemu człowiekowi, o którym sądziłem, że odczuwa znaczenie czynów ludzkich, bowiem posiadał rozum. Ale źle na tym wyszedłem. Odparł, że Lota źle czyni, dzieciom nie należy opowiadać bajd bezpodstawnych, gdyż to daje powód do przeróżnych pomyłek i zabobonów, od których strzec należy młode pokolenie od samego dzieciństwa. Przyszło mi na myśl, że człowiek ten dał przed tygodniem ochrzcić swe dziecko, przeto puściłem jego słowa mimo uszu i pozostałem w sercu swoim wiernym przekonaniu, że winniśmy postępować z dziećmi, jako postępuje z nami Bóg, nie odbierając nam czarownych ułud, jakimi owładnięci i szczęśliwi, wałęsamy się po tym świecie.

8 lipca

O, jakimże dzieckiem jest człowiek? Jakże łaknie jednego bodaj spojrzenia! Jakież z nas dzieci! Udaliśmy się do Wahlheimu. Panie pojechały powozem, a podczas przechadzki wydało mi się, że czytam w ciemnych oczach Loty... Jestem głuptak... przebac mi... ale gdybyś widział te oczy! Piszę pokrótce, gdyż powieki zapadają mi sennie na oczy. Panie tedy wsiadły do powozu, a przy nim staliśmy, młody W., Selstadt, Audron i ja. Rozmawialiśmy z dziećmi, rozbawionymi i swawolnymi. Śledziłem spojrzenie Loty, ale wodziła oczyma z jednego na drugiego. Tylko na mnie, na mnie, który stałem zrezygnowany, nie spojrzała ni razu. Serce moje żegnało ją czule! A ona nie patrzyła na mnie. Gdy powóz ruszył, miałem łzy w oczach. Patrzyłem za nią i nagle dostrzegłem wstążki na głowie Loty, wychylające się przez okno karetki. Obróciła głowę i obejrzała się za mną... za mną, ach! Drogi mój. Waham się w tej niepewności i ona jest mi pociechą! Może się za mną obejrzała! Może za mną! Dobranoc! O, jakimże dzieckiem jestem!

10 lipca

Mam, powiadam ci, niesłuchanie głupią minę, ile razy ktoś w towarzystwie mówi o niej. Szkoda, że tego widzieć nie możesz. A cóż dopiero dzieje się, gdy mnie ktoś zapyta, jak mi się podoba!... Podoba? O, jakże znienawidziłem to słowo! Cóż to musi być za człowiek, któremu się Lota tylko podoba, któremu serca i duszy nie wypełnia po brzegi!... Podoba?... Niedawno pytał mnie ktoś, jak mi się Osjan podoba!

11 lipca

Z panią M. bardzo źle, modłę się o jej zdrowie, cierpiąc wraz z Lotą. Widuję ją rzadko u pewnej znajomej, dziś jednak opowiedziała mi pewne szczególne wydarzenie. Stary M. jest nikczemnym, marnym skąpcem, przez całe życie srodze dręczył żonę i pozbawił wszystkiego, ale umiała ona dawać sobie jakoś radę. Gdy przed kilku dniami lekarz oświadczył, że żyć nie będzie, kazała przywołać męża. Lota była obecną. — Muszę ci wyznać pewną rzecz — ozwała się chora — albowiem może ona sprawić po mej śmierci dużo zamieszania i kłopotu. Gospodarowałam dotąd tak dobrze i oszczędnie, jak tylko byłam w stanie. Przebac mi jednak, że cię oszukiwałam przez lat trzydzieści. W początkach naszego pożycia wyznaczyłeś niewielką kwotę na opędzenie wydatków kuchennych i potrzeby domowe. Gdy nasze gospodarstwo i dochody zwiększyły się, nie mogłam wyprosić u ciebie, byś podwyższył stosunkowo pensję, jaką pobierałam co tydzień, słowem, jak sam wiesz, żądałeś w czasie, kiedy wydatki były największe, bym wszystko pokrywała siedmiu guldenami tygodniowo. Zgodziłam się na to bez oporu, ale dobierałam różnicę konieczną z dochodów, nie natrafiając na trudności, gdyż nikt nie przypuszczał, by żona mogła okradać własnego męża. Nie byłam rozrzutną i mogłabym, nie wyjawiając ci tego, nawet przenieść się spokojnie do wieczności, ale przyszło mi na myśl, że osoba, której powierzysz gospodarstwo, nie da sobie rady, a ty zechcesz się zapewne powoływać na to, że pierwszej żonie wystarczała wyznaczona przez ciebie kwota.

Rozmawiałem z Lotą o tym niepojętym zaślepieniu umysłu człowieka, który nie domyśla się nawet, że musi coś w tym tkwić, jeśli komuś wystarcza siedem guldenów na wydatki, wynoszące co najmniej dwa razy tyle. Sam atoli znałem ludzi, którzy bez zdziwienia mniemali, iż w domu swym posiadają wieczyście napełniający się oliwą, cudowny dzbanek proroka.

13 lipca

O nie, nie łudzę się! Widzę w jej ciemnych oczach nieklamane współczucie dla siebie i zajęcie mą dolą. Czuję i mogę chyba tyle zaufać sercu memu... czuję... czyż wolno mi wyrzec to niebiańskie słowo... czuję, że mnie kocha!

Kocha mnie!... O, jakież przez to sam dla siebie nabrałem wartości... o jakże sam siebie ubóstwiam, od chwili, kiedy mnie ona kocha? Mówię to tobie, bowiem zrozumiesz mnie!

Nie wiem, czy jest to zuchwalstwo, czy jeno odczucie prawdy, ale... nie znam człowieka, z którego strony groziłby mi zamach na serce Loty. A jednak, ile razy mówi z takim ciepłem, z taką miłością o swym narzeczonym, wydaje mi się, że jestem człowiekiem, którego pozbawiono wszystkich dostojeństw i zaszczytów, człowiekiem, któremu odebrano szpadę.

16 lipca

Słodkie uczucie przenika mnie całego, gdy dłoń moja przypadkiem dotknie jej dłoni lub gdy stopy nasze zetkną się pod stołem. Cofam się, jak gdybym się dotknął płomienia, ale przemożna siła pociąga mnie z powrotem i czuję zamęt we wszystkich zmysłach. A ona jest tak niewinna, tak prostą ma duszę, że nie czuje, jak bardzo mnie dręczy. Gdy pośród rozmowy kładzie rękę na mojej ręce i podniecona tematem zbliża się ku mnie tak, że jej niebiański oddech dolata do ust moich, zda mi się, że ginę, jakby gromem rażony. Wilhelmie! Czyż mógłbym się kiedyś ośmielić nadużyć tego anielskiego zaufania?... Ty mnie rozumiesz! O nie, serce moje nie jest aż do tego stopnia zepsute! Słabe jest... tak, bardzo słabe! A czyż słabość nie jest występkiem?

Świątą mi jest. Wszelka żądza gaśnie przy niej. Nie wiem doprawdy, co się ze mną dzieje w jej obecności, zda się, zmienia się we mnie dusza i inaczej działają nerwy. Grając na fortepianie pewną melodię, posiada potęgę anioła, prostotę i uduchowanie niepojęte. Jest to jej pieśń umiłowana, a gdy posłyszę pierwszą nutę, wolnym się czuję od całej udręki, zmieszania i urojeń moich.

W chwili, kiedy owłada mną owa prosta melodia, prawdopodobnym staje mi się wszystko, co powiadają o czarodziejskiej potędze muzyki w czasach zamierzchłych. A ona z przedziwnym odczuciem ima się tego środka w momencie, kiedy rad bym sobie

wpakować kulę w głowę. Wówczas znika obłąd, pierzchają mroki z mej duszy i oddycham znowu swobodnie.

18 lipca

Czymże jest, Wilhelmie, sercom naszym świat bez miłości? Tym zaprawdę, czym byłaby bez światła latarnia magiczna. Ledwo wstawisz w nią lampkę, natychmiast jawią się na białej ścianie barwne obrazy! A choćby były one tylko przelotnymi złudami, to jednak są nam szczęściem, stoimy jak młodziki i z zachwytem patrzymy na to cudowne zjawisko. Dzisiaj nie mogłem pójść do Loty, gdyż musiałem przyjąć nieuniknionych gości. Nie było rady. Posłałem do niej służącego, byle tylko mieć obok siebie człowieka, który się dziś znalazł w jej pobliżu. Z ogromną niecierpliwością wyczekiwałem jego powrotu i powitałem go z niewysłowioną radością! Chętnie byłbym objął rękami jego głowę i ucałował, gdybym się tylko nie wstydził.

Opowiadają, że kamień boloński, wystawiony na słońce, wciąga jego promienie i potem świeci w nocy przez czas pewien. Tak się dla mnie rzecz miała ze służącym. Świadomość, że spojrzenie jej spoczęło na jego twarzy, policzkach, guzikach i kołnierzu jego surduta, uczyniło mi go tak świętym i drogim, że za tysiąc talarów nie pozbyłbym się był tego chłopaka. Czułem się tak dobrze w jego towarzystwie! Nie śmiej się z mych słów na miły Bóg! Wilhelmie, czyż może być urojeniem to, co nam daje zadowolenie?

19 lipca

— Zobaczę ją! — wołam budząc się rankiem i spoglądając radośnie na słońce. — Zobaczę ją! — Na cały dzień nie mam pragnień innych. Wszystko, wszystko skupia się w tej nadziei.

20 lipca

Nie mogę się jeszcze oswoić z pomysłem waszym, bym miał się udać z konsulem do \*\*\*\*. Nie przepadam wcale za subordynacją, a wiemy przecież dobrze wszyscy, że człowiek ten jest poprostu wstrętną osobistością. Powiadasz, że matka pragnie, bym się wziął do życia czynnego? Roześmiałem się z tego. Czyż nie jestem czynny? I czyż nie na jedno wychodzi, czy się liczy ziarnka grochu, czy soczewicy? Wszystko w świecie jest

ostatecznie marnością, a za głupca uważam człowieka, ubiegającego się o majątek czy zaszczyty tylko ze względu na innych, jeśli to nie jest jego własną potrzebą, ni namiętnością.

24 lipca

Zależy ci, widzę, na tym, bym nie zaniedbywał rysunku, wolałbym tedy pominąć całą rzecz milczeniem, niż wyznać, że oddaję się temu bardzo mało.

Zaprawdę, nigdy może nie czułem się szczęśliwszym, nigdy me odczuwanie przyrody, aż do najdrobniejszego kamyczka, czy trawki, nie było pełniejszym, głębszym, a mimo to... nie wiem, jak to wyrazić... Osłabła we mnie wyobraźnia, wszystko myli mi się i chwieje przed oczyma, tak, że nie mogę uchwycić jasno określonego kształtu samego przedmiotu. Wydaje mi się, że gdybym miał glinę, czy воск, zdolny byłbym kształt ten wydobyć. Wezmę się do gliny, jeśli stan ten potrwa dłużej i będę lepił, choćby z całej roboty miał powstać jeno placek.

Trzy razy rozpoczynałem portret Loty i nie udało się, co mnie tym bardziej martwi, że do niedawna z wielkim powodzeniem oddawałem podobieństwo. Narysowałem ostatecznie jej sylwetkę i poprzestaję na tym.

26 lipca

Dobrze, droga Loto, wszystko załatwię i uczynię, co tylko chcesz, dawaj mi zleceń jak najwięcej. O jedno cię tylko proszę, oto nie zasypuj piaskiem atramentu na karteczkach, jakie mi posyłasz. Dzisiaj przywarłem ustami do twego pisma i teraz zgrzyta mi piasek w zębach.

26 lipca

Nieraz postanawiałem już nie widywać jej tak często. Ale jakże trudno dotrzymać? Codziennie ulegam pokusie i codziennie przyrzekam święcie, że jutro się nie pokażę. Kiedy zaś nadejdzie owo jutro, jawi się nagle nieodzowna konieczność i nim się spostrzegę, jestem znów u niej. Zdarza się, że ona powiada wieczorem: — Wszakże się zobaczymy jutro! — I jakże mogę nie iść? Albo znowu da mi jakieś zlecenie i wydaje mi się, że wypada wywiązać się zeń osobiście. Czasem także pogoda zbyt piękna, by

siedzieć w domu, idę tedy do Wahlheimu. Ale wówczas znajduję się tylko o pół godziny drogi od niej... otacza mnie już jej atmosfera... przeto... nie ma rady... i oto już wkraczam w bramę leśniczówki. Babka opowiadała mi bajkę o magnetycznej górze. Gdy się okręt znalazł w jej pobliżu, nagle tracił wszystkie żelazne części i gwoździe, i śruby pędziły ku onej górze, a biedni żeglarze tonęli, przywaleni ciężarem rozlatujących się belek.

30 lipca

Albert przyjechał, ja tedy muszę ustąpić. Gdyby nawet był najlepszym, najszlachetniejszym człowiekiem, tak, że pod każdym względem gotów bym był uznać jego wyższość nad sobą, to i tak nie byłbym w stanie patrzeć na przyozdobionego tyłu doskonałościami człowieka. Dość tego Wilhelmie! Przyjechał narzeczony! Jest to miły, zacny człowiek, któremu nic zarzucić nie można. Szczęściem, nie byłem świadkiem powitania! Serce by mi pękło chyba. Bardzo jest delikatny, w obecności mojej ani razu nie pocałował Loty. Niech mu to Bóg wynagrodzi. Polubiłem go za szacunek, jaki jej okazuje. Jest mi życzliwy i podejrzewam, że jest to raczej dzieło Loty, niż wyraz jego własnych uczuć. Kobiety są mistrzyniami w tych sprawach i mają słuszość. Jeśli uda im się utrzymać zgodę pomiędzy dwu wielbicielami, zyskują na tym same najwięcej. Ale rzadko się to, co prawda, udaje.

Nie mogę, mimo wszystko, odmówić szacunku Albertowi. Jego spokój odbija bardzo jaskrawo od mego wrażliwego usposobienia i ukryć tego nie sposób. Jest to człowiek uczucia i wie, czym jest dlań Lota. Humor ma zawsze, zda się, dobry, a wiesz, że wady przeciwnej znieść nie mogę w ludziach i nienawidzę ponad wszystkie inne.

Uważa mnie za człowieka rozumnego, a przywiązanie moje do Loty, radość, jaką mnie napęłnia każdy jej krok, zwiększa jeszcze w nim poczucie zwycięstwa i kocha ją tym mocniej. Niepodobna zbadać, czy nie dokucza jej czasem drobnymi objawami zazdrości, ale na jego miejscu, ja sam nie mógłbym się opędzić temu szatanowi.

Zresztą mniejsza z tym, rzecz główna to to, że przepadła już moja radość związana z odwiedzinami u Loty. Obojętne, czy nazwę to głupotą, czy zaślepieniem! Nazwa nie ma tu znaczenia, rzecz sama mówi za siebie. Przed przyjazdem Alberta wiedziałem dobrze to wszystko, co dzisiaj wiem, mianowicie, że nie mogę sobie rościć do niej żadnych praw, nie sięgałem też po nie, przynajmniej o tyle, o ile jest to możliwe wobec tyłu

ponęt. A teraz oto jak bałwan wytrzeszczam oczy i dziwuję się mocno, że tamten wrócił i zabiera mi dziewczynę sprzed nosa.

Zaciskam zęby i drwię z własnej głupoty, a drwię po dwa i trzykroć mocniej jeszcze z głupoty tych ludzi, którzy by mi tłumaczyć chcieli, że winienem zrezygnować i pogodzić się z tym, czego zmienić niepodobna. — Precz z tymi kukłami! — Włóczę się po lesie, a wróciwszy do Loty, widząc, jak siedzi z Albertem w altanie pod lipą, nie mogę wytrzymać i zaczynam takie błazeństwa, takie wybryki, takie stroję miny i wyplatam głupstwa, że trudno to sobie wyobrazić. — Na miłość boską, — prosiła mnie dziś Lota — nie powtarzajże pan tej sceny, z wczorajszego wieczoru! Boję się pana, gdy zaczynasz być tak wesoły! — Bogiem a prawdą, poluję na moment, kiedy on jest czymś zajęty, a gdy go dopadnę... szast... już pędzę do Loty i raduję się, zastawszy ją samą.

8 sierpnia

Zapewniam cię Wilhelmie, że nie myślałem o tobie, gromiąc nieznośnych ludzi, nakłaniających mnie do pogodzenia się z nieuchronnym losem. Nie sądziłem, zaprawdę, byś mógł żywić takie zapatrywanie. Masz w gruncie słusność. Jedno tylko mój drogi: w świecie rzadko załatwia się coś przez tak lub nie, a w zakresie uczuć i postępowania jest tyle odmian, przejść i półtonów, ile kształtów pośrednich pomiędzy nosem krogulczym a perkatym.

Nie bierz mi przeto za złe, że przyznając bez zastrzeżeń słusność twojej argumentacji, postaram się prześlizgnąć pomiędzy owym: tak — i nie!

Powiadasz mi: albo masz nadzieję pozyskać sobie Lotę, albo nie. W pierwszym razie staraj się zmienić ową nadzieję w rzeczywistość i ziścić swe zamysły, w przeciwnym zaś razie otrząśnij się i pozbądź bezcelowego uczucia, które pochłonąć musi wszystkie twoje siły! — Mój drogi, dobrze i łatwo ci to mówić. Czyż możesz domagać się od człowieka, którego życie podkopuje powolna, nieuleczalna choroba, by pchnięciem sztyletu położył od razu kres swojej męce?

Czyż zło, pożerające jego siły, nie odbiera mu zarazem odwagi wyzwolenia się zeń?

Mógłbyś mi odpowiedzieć podobnym porównaniem, mógłbyś rzec: któżby raczej nie wolał pozbyć się jednego ramienia, jak przez wahanie i zwłokę narażać życie na niebezpieczeństwo? — Sprawa to niełatwa do rozstrzygnięcia, przeto nie bawmy się w porównania. Dość tego! Tak jest mój drogi, odczuwam i ja chwilami porywy takiego

męstwa, zdobywam się na chęć otrząśnięcia i ucieczki i odszedłbym niezawodnie, gdybym wiedział, dokąd się udać!

Wieczorem

Wpadł mi dziś właśnie w ręce dziennik mój, zaniedbany od niejakiego czasu i zdumiewam się czytając, jak krok za krokiem, świadomie, wpłatałem się w to wszystko. Widzę, jak jasno zdawałem sobie zawsze sprawę ze stanu rzeczy, a postępowałem jak dziecko, a i teraz wszystko mam przed oczyma, a nic nie wydaje się zmierzać ku poprawie.

10 sierpnia

Mógłbym wieść życie najlepsze i najszczęśliwsze pod słońcem, gdybym nie był głupcem. Rzadko zdarza się zbieg równie pomyślnych okoliczności, które by mogły rozradować duszę człowieka, jak te, wśród których żyję. Ach, to rzecz pewna, że samo jeno serce nasze wytwarza własne poczucie szczęścia. Jestem członkiem milej rodziny, stary kocha mnie jak syna, dzieci, jak drugiego ojca, a... Lota... Poza tym zacny Albert nie tylko nie burzy grymasami, czy złym humorem mego szczęścia, ale przeciwnie, obdarza mnie przyjaźnią swoją i uważa po Locie za najbliższego sobie człowieka na świecie.

Prawdziwa to przyjemność, Wilhelmie, słuchać, jak na przechadzce wspólnej o Locie rozmawiamy. Nie ma chyba na świecie nic ponad ten stosunek śmieszniejszego, a jednak często wyciska mi on łzy z oczu.

Albert opowiada mi, jak zacna matka Loty, umierając, zdała na nią całe gospodarstwo i dzieci, zaś jemu oddała Lotę samą w opiekę. Odtąd wstąpił w dziewczynę zgoła inny duch, pośród trosk gospodarczych spoważniała i stała się prawdziwą matką rodzeństwa. Każdą chwilę jej życia wypełnia czynna miłość i praca, a mimo to nie zatraciła swej wesołości i pogody. Opowiada, ja idę obok niego, zrywam kwiaty przydrożne, układam je starannie w bukiet, potem rzucam go w płynący tuż obok strumień i spoglądam, jak płynie, ginąc z wolna w dali. Nie pamiętam, czym ci doniósł, że Albert tutaj pozostanie i otrzyma od księcia, który go bardzo lubi, stanowisko z przyzwoitym wyposażeniem. Mało widziałem ludzi dorównywających mu zamięłowaniem porządku, pracowitością i punktualnością w interesach.

12 sierpnia

Albert jest najzacniejszym człowiekiem pod słońcem. Miałem z nim wczoraj niezrównane przejście. Przyszedłem pożegnać go, gdyż napadła mnie ochota wyjechać konno w góry, skąd właśnie piszę do ciebie. Chodziłem po pokoju tam i z powrotem i nagle wpadły mi w oczy jego pistolety. — Pożycz mi tych pistoletów na drogę! — powiedziałem. — I owszem, musisz je tylko nabić. U mnie wiszą tylko od parady! — Zdjąłem jeden ze ściany, a on mówił dalej: — Nie chcę z tym mieć więcej do czynienia, od kiedy przez swą własną przezorność miałem niemiłą przygodę. — Ciekawy byłem posłyszeć, co się stało. — Bawiłem — opowiadał — u przyjaciela na wsi przez kilka miesięcy, miałem parę nienabitych krócić i czułem się całkiem bezpiecznym. Pewnego dżdżystego popołudnia siedziałem beczynn timer nie wiem czemu, naraz przyszło mi na myśl, że może nas ktoś napaść, a wówczas przydałyby się nam króciice. Dałem je przeto służącemu z poleceniem wyczyszczenia i nabicia. Chłopak zaczął przekomarzać się z dziewczętami, chciał je nastraszyć, nagle, nie wiadomo dlaczego, broń wypaliła, a ponieważ w lufie tkwił jeszcze stempel, wpakował go więc jednej z dziewcząt w rękę, naruszając wielki palec. Był lament i krzyk, a ponadto musiałem ponieść koszt leczenia. Toteż od tej pory pozostawiam wszelką broń nienabitą. Pomyśl tedy mój drogi, co znaczy ostrożność! Niebezpieczeństwa przewidzieć nie można! Wprawdzie... Tu zaczął wywód. Trzeba ci wiedzieć, że bardzo lubię tego człowieka, ale tylko aż po owo słowo: wprawdzie. Naturalnie każde zdanie ogólne dopuszcza wyjątki, ale Albert jest tak skrupulatny, że ile razy mu się zdaje, iż powiedział coś zbyt pochopnego, zbyt ogólnikowego, lub niezupełnie zgodnego z prawdą, zaczyna zaraz modyfikować, uwarunkowywać, odejmować i dodawać, aż wreszcie z całego wyrażonego zapatrywania nie zostanie i śladu. Tym razem zatopił się tak w analizowaniu tematu, że przestałem go słuchać, uczułem smutek i nagle szybkim ruchem przyłożyłem lufę pistoletu do czoła tuż ponad prawem okiem. — Dajże spokój — zawołał Albert, odciągając broń od mojej głowy. — Cóż to ma znaczyć? — Przecież nienabity! — odparłem — A choćby nawet i tak było, — powtórzył niecierpliwie — cóż to ma za sens? Pojąć nie mogę, by ktoś mógł być do tego stopnia nierozsądnym, by popełniać samobójstwo! Sama myśl o tym napelnia mnie obrzydzeniem.

— Dziwne to, — zawołałem — że wy, ludzie, rozważając coś, zaraz macie na pogotowiu słowa: to jest głupie... to mądre... to dobre... a to złe! Cóż to wszystko razem znaczy? Czy żeście zbadali wewnętrzne pobudki czynu? Czyż z całą pewnością wyjaśnić

możecie przyczyny, dla których coś się stało i udowodnić, że się stać musiało? Gdybyście to uczynili, nie byłibyście tak pochopni w ferowaniu wyroków.

— Przyznasz mi chyba — rzekł Albert — że pewne czyny są występne, bez względu na pobudki, jakie je wywołały.

Wzruszyłem ramionami i przyznałem mu słuszność. — Ale, mój drogi, — ciągnąłem dalej — i tutaj są wyjątki. Kradzież jest bez kwestii zbrodnią, ale powiedz, czy człowiek, dopuszczający się rozboju, by uchronić siebie samego i swoją rodzinę od nieuniknionej śmierci głodowej, zasługuje na karę, czy na litość? Któż rzuci pierwszy kamień na małżonka, który, uniesiony słusznym gniewem, poświęca mu swą niewierną żonę i jej nikczemnego kochanka? Któż potępi dziewczynę, która poddała się w chwili upojenia nieodpornemu przymusowi miłości? Nawet prawa nasze, tak bezduszne i pedantyczne, dają się wzruszyć i nie ośmielają się karać.

— To rzecz zgoła inna! — odparł Albert. — Człowiek, ulegający swym namiętnościom, traci całą siłę rozumowania i uważany jest za pijanego, za szalonego.

— Ach, wy, ludzie mądrzy! — zawołałem ze śmiechem. — Namiętność! Pijaństwo! Szał! Z jakąż obojętnością i spokojem wygłaszacie te słowa? Przyganiacie pijakowi, czujecie wstręt do szaleńca, mijacie obu, jak kapłan z przypowieści i jak faryzeusz dziękujecie Bogu, że nie uczynił was takimi, jak oni. Ja byłem nieraz pijany, a namiętności moje unosiły mnie zawsze na samo pogranicze szału, ale nie żałuję tego wcale, bowiem na samym sobie nauczyłem się rozumieć, dlaczego okrzykiwano zawsze szaleńcami i pijakami ludzi niezwykłych, którzy dokonywali czegoś ogromnego, czegoś niepojętego.

— Ale nawet w codziennym życiu, ze wstrętem słuchać musimy, jak o człowieku, spełniającym jakikolwiek śmiały, szlachetny, nieoczekiwany czyn, gawiedź powiada: to pijanica, to szaleniec! O, hańba wam ludzie trzeźwi! Wstydźcie się mędracy!

— Znowu napadły cię zwykłe urojenia i fantazje, — odrzekł Albert — i przesadzasz jak zazwyczaj. Ale w tym co najmniej mylisz się najzupełniej, że samobójstwo, o którym mowa, przyrównywasz do czynów wielkich, a tymczasem jest ono jedynie dowodem słabości. O wiele łatwiej umrzeć, niż znosić męźnie i wytrwale życie pełne męczarni.

Chciałem przerwać rozmowę, gdyż nic mnie tak nie wytrąca z równowagi, jak komunał, wytoczony jako argument w chwili, kiedy mówię z głębi duszy. Ale, ponieważ słyszałem to już nieraz i często się złościłem, przeto zapanowałem nad sobą i odparłem żywo: — Zwiesz to słabością? Nie daj się, proszę cię, ludzić pozorom. Czyż nazwiesz słabym lud, który cierpiąc i jęcząc długo pod jarzmem tyrana, zerwie się nagle do buntu

i strzaska okowy? Czyż powiesz to samo o człowieku, który pod grozą pożaru, ogarniającego jego dom, w wielkim napięciu sił przenosi ciężary, których by ruszyć niemal nie był w stanie w zwykłym, spokojnym czasie? Albo, czyż takim nazwiesz oszalałego wściekłością po doznanej obrazie, który rzuca się na sześciu przeciwników i pokonywa ich? A powiedzże mi teraz mój drogi, jeśli wysiłek oznacza siłę, to czyżby przesada miała oznaczać słabość?

Albert popatrzył na mnie i odrzekł: — Nie gniewaj się, ale przytoczone przez ciebie przykłady są zgoła nie na miejscu! — To bardzo możliwe, — powiedziałem — zwracano mi już uwagę, że moje rozumowanie graniczy często z czczym gadulstwem. Przeto zastanówmy się nad rzeczą w inny ją ujmując sposób i pomyślmy, co odczuwać musi człowiek, który postanowił rzucić z siebie przyjemny zazwyczaj ciężar życia. Musimy się weń wczuć, gdyż wówczas tylko mamy prawo w ogóle mówić o tej rzeczy.

— Natura ludzka — ciągnąłem dalej — ma zakreślone sobie pewne granice, znosi radość, cierpienie i ból do pewnego jeno stopnia, a musi ulec, gdy je przekroczy. Nie należy przeto pytać, czy ktoś jest słaby, czy mocny, ale czy może udźwignąć brzemień cierpień swoich, bez względu na to, czy są one natury fizycznej, czy moralnej. Uważam, że równie niestosownym jest nazywać samobójcę tchórzem, jak gdybyśmy tchórzem nazwali chorego, który zmarł na żółtą febrę.

— Paradoksy! Paradoksy! — zawołał Albert. — Nie w tym stopniu, jak ci się to wydaje! — odrzekłem. — Przyznasz mi chyba, że śmiertelną chorobą nazywamy taką, która niszczy część naturalnych sił człowieka, a część drugą obezwładnia, tak, że organizm nie jest w stanie zaradzić złemu i przestaje być zdolnym do przywrócenia normalnego toku funkcji życiowych przy pomocy radykalnego przewrotu.

Zastosujmy to, mój drogi, do ducha. Spójrz na człowieka, żyjącego w danych warunkach, weź pod uwagę wrażenia, jakie odbiera i myśli, które się w nim ustalają i pomyśl, że oto niespodziana namiętność pozbawia go nagle spokoju, zdolności rozumowania i prowadzi do zagłady.

Człowiek rozumny ogarnia spojrzeniem stan nieszczęśnika i przekonywa go, ale wszystko nadaremnie. Podobnie człowiek zdrowy, stojąc u wezglowia chorego, nie jest w stanie udzielić mu ni odrobiny swych własnych sił.

Słowa moje wydały się Albertowi zbyt ogólnikowe. Przywiodłem mu tedy na pamięć dziewczynę, niedawno wyciągniętą z wody i powtórzyłem mu jej dzieje. Była to młoda istota, wzrosła pośród ciasnego kręgu zajęć domowych i pracy z góry na tydzień unormowanej. Nie знаła ona innych rozrywek i uciech, jak ustrojenie się w co mogła i

pospacerowanie w niedzielę po mieście; czasem potańczyła przy okazji w jedno z większych świąt, lub przegawędziła ze sąsiadką godzinę, roztrzásając jakąś kłótnię, czy obmowę. Ale z biegiem czasu, uniesiona swym temperamentem, odczuła inne, istotniejsze potrzeby. Rozpłomieniały ją przychlebne słowa mężczyzn, poprzednie uciechy wydały jej się mało pociągające, aż na koniec spotkała człowieka, do którego zbliżyło ją nieznane dotąd uczucie, któremu oprzeć się nie zdołała. Ujrzała w nim ziszczenie wszystkich swych nadziei, zapomniała o otaczającym ją świecie, przestała słyszeć, widzieć, czuć, przed oczyma miała tylko jego jedynie, jako wyłączny przedmiot tęsknoty i pożądania. Nie zepsuta jałowymi uciechami próżności, pożądanie swe skierowała wprost do tego celu, by mu się oddać i w tym zjednoczeniu znaleźć zaspokojenie wszystkich uciech i całego szczęścia, o jakim marzyła. Obietnice, powtarzane raz po raz upewniły ją, że nadzieje jej są niepłonne, uściski i śmiałe pieszczoty rozjarzyły jej żądzę i ogarnęły całą jej duszę. Zatonęła w półświadomym rozmarzeniu i przeczuciu rozkoszy, do najwyższego stopnia rozciekawiona tym, co nadejść miało, rozwarła ramiona, by osiąść cel swych pragnień i oto w takiej chwili porzucił ją kochanek. Zmartwiała, bez zmysłów znalazła się nad przepaścią. Otoczyła ją ciemń, w której przepadła nadzieja, otucha, pierzchnęło wszystko, bowiem opuścił ją ten, który był dla niej życiem. Nie dostrzegała teraz świata zewnętrznego, nie widziała mnóstwa mężczyzn, mogących jej zastąpić utraconego kochanka, uczuła się samotna i opuszczona przez wszystkich. Ślepą smagana siłą, zapędzona w pułapkę straszną rozpaczą udręczonego serca, rzuciła się w przepaść śmierci, by zatopić w jej falach swą mękę okropną. Oto, drogi Albercie, historia wielu, wielu ludzi! Powiedz, czyż nie posiada ona wszystkich cech choroby? Natura nie znajduje wyjścia z labiryntu zmotanych, rozpętanych, sprzecznych sił i człowiek musi umierać.

Biada temu, kto patrząc z dala, mówiłby oziębłe: — Cóż to za głupia dziewczyna! Gdyby się wstrzymała przez czas jakiś, rozpacz jej niewątpliwie by się ukoila, a pocieszyciel zjawiłby się niechybnie. Zupełnie tak samo mógłby ktoś powiedzieć: Głuptak jeno umierać może na febrę. Gdyby zaczekał, aż sił nabierze, soki się odświeżą, napór krwi ustanie, wówczas przetrzymałby był wszystko i żył aż do dnia dzisiejszego.

Albertowi owo porównanie nie było dostatecznie jasne, przeto stawiał różne zarzuty, a pomiędzy innymi powiedział, że przytoczyłem czyn naiwnej dziewczyny, ale on nie pojmuje, jak można uniewinniać człowieka rozumnego, nie żyjącego w ciasnych warunkach i zdającego sobie sprawę ze stanu rzeczy. — Mój drogi! — zawołałem. — Człowiek jest tylko człowiekiem, a owa odrobina rozsądku, jaki może posiadać, bardzo

mało, albo nic zgoła nie waży na szali, gdy rozpęta się namiętność i niedola uciska. Przeciwnie nawet... Zresztą pomówimy o tym jeszcze! — zawołałem i chwyciłem kapelusz. Serce me było przepełnione... Rozstaliśmy się, nie osiągnąwszy porozumienia. O, jakże trudno na tym świecie człowiekowi zrozumieć drugiego człowieka.

15 sierpnia

Jest to pewnikiem, że tylko miłość czyni człowieka potrzebnym na świecie. Czuję, że Lota nie chciałaby mnie utracić, a dzieci nie mają innej myśli ponad tę, że będę przychodził codziennie. Byłem dziś u niej, by jej nastroić fortepian, ale nie zdołałem tego dokazać, bowiem malcy napierali się, bym im opowiadał bajkę, a sama Lota namówiła mnie, bym uczynił, czego pragną. Wydzieliłem im podwieczorek i zauważyłem, że przyjmują ode mnie kromki chleba niemal tak samo chętnie, jak od Loty. Potem opowiedziałem im spory ustęp z baśni o księżniczce, obsługiwanej przez czarodziejskie ręce. Sam się niejednego przy tym opowiadaniu uczę i zdumiewa mnie wrażenie, jakie to na nich sprawia. Zmuszony jestem wymyślać samodzielnie niejedno zawikłanie, o którym nazajutrz zapomina, a wówczas dzieci zarzucają, że wczoraj było inaczej. Skutkiem tego pilnuję się i przyuczam recytować to samo niezmiennie śpiewnym tonem bez zająknienia. Przekonałem się przy tej sposobności, że autor psuje zawsze swe dzieło, gdy w drugim wydaniu zmienia opowieść, choćby nawet starał się uczynić ją bardziej poetyczną i kompletniejszą. Ulegamy pierwszemu wrażeniu, a leży to już w naturze człowieka, że da w siebie wmówić rzeczy najcudacniejsze. Owo pierwsze wrażenie wżera się jednak tak silnie w naszą duszę, że odnosimy się niechętnie do tego, kto stara się je wymazać i usunąć.

18 sierpnia

O, czemuż tak się dziać musi, że to, co stanowi szczęście człowieka, przemienia się w krynicę jego niedoli?

Gorące umiłowanie żywej przyrody, wypełniające po brzegi serce moje, przenikające mnie taką rozkoszą, że świat otaczający wydawał mi się rajem, jest mi dzisiaj udręką, prześladowczym demonem, kroczącym za mną wszędzie, gdzie stąpię.

Dawniej słałem wzrok od skał, poprzez rzekę, aż hen ku pagórkom i ogarniając spojrzeniem urodzajną dolinę, śledziłem, jak wszystko kielkuje i rośnie. Patrzyłem na one góry, od podstaw do szczytu przybrane w gęstwą drzew, na doliny, wijące się różnokształtymi zakrętami, ocienione drzewami, na rzekę, płynącą cicho pośród szeptałego szuwara i odbijającą urocze chmury, kołysane powiewem wiatru na niebie. Słyszałem głosy ptasząt, ożywiające świegotem lasy, poglądałem na roje komarów, tańczące wśród ostatnich promieni zachodzącego słońca, na chrabąszczyki czekające, aż znikną, by wzlecieć ze żdźbła trawy, śledziłem rojenie się owadów i różnych drobnych stworzonek po ziemi, zamyślałem się nad mchem, dobywającym z twardych głazów pożywienie, nad porostami, okrywającymi jałowe piaszczyste pagórki i to wszystko ujawniało mi tajemnice wewnętrzne czarownego, świętego życia przyrody. Całokształt onych przejawów ogarniałem gorącym sercem moim, czułem się przebóstwionym tą bujnością bytu, a cudne zjawy nieskończonego w swych formach świata żywym rytmem tętniły w mej duszy.

Żyłem pośród gór niebotycznych, widziałem pod stopami moimi przepaście, przelatywały koło mnie wodospady, płynęły pode mną rzeki, a lasy i góry brzmiały życiem. Widziałem, jak działają i tworzą w głębi ziemi skryte tajemne siły, zaś na powierzchni jej, pod niebem, jak roją się pokolenia różnolitych stworzeń. Wszystkom oglądałem w ruchu i postaciach niezliczonych, patrzyłem, jak kupią się ludzie po domach, ubezpieczają się, osiedlają i rządzą po swojemu rozległym światem! O biedny, naiwny człowieku, za nic sobie masz to wszystko, bowiem sam mały jesteś i marny! Od gór niedostępnych aż do pustyni, której nie tknęła stopa niczyja i aż po krańce niezbadanego oceanu wieje duch, twórca wiekuisty, radując się każdemu pyłkowi, który żyje i pojmuje go.

Ach, jakże wówczas tęskniłem, by unieść się na skrzydłach żurawia, płynącego ponademną, wzlecieć ku wybrzeżom nieogarnionego morza i napić się z perlącego się pucharu nieskończoności onego nektaru życia, jakże pragnąłem uczuć bodaj przez chwilę w głębi, wezbranej mocą, piersi własnej tchnienie szczęśliwości onej istoty, która w sobie tworzy wszystko i z siebie wszystko wyłania.

O bracie, wspomnienie tych godzin słodką mnie przepaja radością. Sam wysiłek przyzywania na pamięć owych niewysłowionych uczuć, owo uświadamianie ich sobie wznosi mą duszę ponad nią samą, ale jednocześnie czuję dziś podwójnie straszny stan, w który popadłem obecnie.

Jakby jakaś zasłona uchyliła się przed duszą moją, a widownia nieskończonych przejawów życia przemieniła mi się w bezdenną otchłań otwartego wieczyscie grobu. Jakże możemy mówić, że... coś jest... gdy wszystko przemija, gdy z chyżością błyskawicy przesuwa się, gdy wszystko niezdolne jest jeszcze rozwinąć całej swej siły żywotnej, a już porwane prądem tonie i rozbija się na skałach? Nie ma chwili, która by nie trawiła ciebie i twoich najbliższych, nie ma chwili, w której byś nie był, nie musiał być niszczycielem! Niewinny spacer twój zabiera życie tysiącom robaczków, jedno potrącenie nogi niweczy pracowicie wznoszoną budowlę mrówek i wtłacza cały lud bez celu w grób. Ha! nie wzruszają mnie wielkie, rzadko zdarzające się katastrofy świata, powódzie, splukujące wsi i osady, trzęsienia ziemi, pochłaniające miasta, serce moje cierpi katusze z powodu onej chłonnej siły, skrytej na samem dnie natury, której wytwory pożerają same siebie i wszystko wokół. Chwieję się na nogach z przerażenia. Niebo i ziemia, i wszystkie ich twórcze siły są mi jako potwory wieczyscie głodne, co bez ustanku pożerają zjawy i wieczyscie nowych łakną.

21 sierpnia

Daremnie wyciągam ku niej ramiona rankiem, kiedy budzę się z gnębiących, przykrych marzeń, daremnie nocą szukam jej w łóżku swoim, gdy uległ złudzie szczęsnego, niewinnego snu, jakoby siedział wraz z nią na łące, trzymał za rękę i okrywał jej dłoń pocałunkami. Kiedy wonczas, na poły jeszcze rozspaniem ogarnięty, szukam jej omackiem i wracam do jawy, z oczu tryskają mi łzy, w sercu czuję bolesny ucisk i płaczę, i żalę się beznadziejnej przyszłości mojej.

22 sierpnia

Jestem nieszczęśliwy, Wilhelmi, cała żywotna siła moja zatoneła w targanej niepokojem bezczynności, nie mogę próżnować, a wziąć się do czegoś nie jestem w możności. Znikła moja wyobraźnia, przepadło odczucie natury, a do książek mam wstręt nieprzewyciężony. Gdy się ktoś sam zatraci, brak mu wszystkiego. Zaręczam ci, że czasem rad bym być wyrobnikiem dziennym, byle tylko, budząc się rano, mieć przed sobą widoki na dzień pracy, pochop do niej i nadzieję. Często zazdroszczę Albertowi, patrząc, jak nurza się aż po uszy w aktach i wydaje mi się, że czułbym się nad wyraz szczęśliwym, będąc na jego miejscu. Kilka razy zabierałem się pisać do ciebie, a także

zwrócić się do ministra z prośbą o miejsce w konsulacie, którego by mi, jak zapewniasz, nie odmówiono. Tak i ja sam myślę. Minister lubi mnie od dawna i sam nadmieniał, że powinienem wziąć się do jakiejś roboty. Czasem marzę o tym przez godzinę, ale zaraz potem przychodzi mi na myśl bajka o owym koniu, który znudzony swobodą, pozwolił się przybrać w siodło i trzęlę, a potem zginął, na śmierć zajeżdżony przez ludzi. Nie wiem, co począć, a przy tym nie jestem pewny, czy owe straszne uczucie niepokoju, owa dążność do zmiany stanu w jakim się znajduję, nie będzie mnie prześladować, cokolwiek bym uczynił?

28 sierpnia

To prawda, że, o ile choroba moja jest uleczalna, to uleczyć mnie mogą jeno ludzie. Dziś jest dzień mych urodzin. Wczesnym rankiem dostałem pakuneczek od Alberta. Przy otwieraniu wpadła mi w oczy bladoróżowa przepaska, noszona przez Lotę w dniu, w którym ją poznałem i o którą tyle razy ją prosiłem. W pakiecie znalazłem dwie małe książeczki, najmniejszy format wetsteinowskiego wydania Homera, o którym marzyłem tyle razy, by nie dźwigać na przechadzki dużego ernestyńskiego wydania. Przyjaciele spełniają w ten sposób me pragnienia, świadczą owe drobne przysługi, tysiąc razy cenniejsze od wspaniałych darów, w których przebija i ciąży nam pycha ofiarodawcy. Ucałowałem tysiące razy przepaskę i pełną piersią wciągałem w duszę wspomnienie onych chwil szczęsnych, kiedy tonąłem w radości i upojeniu. Tak już jest, Wilhelmie, na świecie i nie szemrzę przeciw temu, kwiat życia to jeno złuda! Ileż z nich opada, nie pozostawiając śladu, jakże niewiele wydaje owoc, a jakże nieliczne okazy dochodzą do dojrzałości? A mimo to... bracie mój... tyle ich wokół i poważamy się one dojrzałe owoce zaniedbywać, pomiatać nimi, pozwalać, by zgniły nieużytecznie!

Bądź zdrow! Lato tutaj precudne, spinam się często na drzewa owocowe w sadzie Loty, ujmuję żerdkę i strącam gruszki z wierzchołka. Ona stoi pod drzewem i chwytą rzucone z góry owoce.

30 sierpnia

Nieszczęsny! Jesteś naiwny, oszukujesz samego siebie. Do czegoż doprowadzić cię może owa nieposkromiona, nieustanna namiętność? Modlę się już tylko do niej, wyobraźni mej jawi się wyłącznie tylko jej postać i dostrzegam o tyle jeno cały świat, o

ile stoi w jakimś do niej stosunku. I to mi daje czasem miłe chwile, tak długo trwające, póki się znowu od niej oderwać nie jestem zmuszony. Siedzę przy niej czasem przez dwie, lub trzy godziny, sycąc oczy jej postacią, śledząc jej ruchy, pojąc się niebiańską muzyką jej słowa. Napięcie wszystkich zmysłów moich wzrasta stopniowo, aż nagle ćmi mi się przed oczyma, przestaję słyszeć, skurcz mnie chwyta za gardło skrytobójczo, serce wali młotem i zwiększa jeszcze zamęt i uczucie rozpacz. Wówczas, drogi Wilhelmiu, nie wiem doprawdy, czy żyję na świecie! Czasem znowu przygniata mnie smutek, a Lota nie odmawia mi tej bolesnej przysługi, bym mógł wypłakać na jej dłoni łzy rozpacz. Zrywam się, odchodzę, wybiegam, błąkam się po polach, wspinam się na urwiste wzgórza z dziką jakąś radością, prę się przez bezdroża leśne, torując nowe ścieżki, przełamuję przez płoty, drące mi ubranie, przeciskam przez ciernie, kaleczące mi ciało i wówczas doznaję ulgi. Czasem powalony znużeniem i spragniony padam gdzieś na ziemię i leżę tak często długo w noc późną, a nade mną błyszczy księżyc w pełni. Czasem siadam w lesie na krzywym pniu, lub konarze drzewa, odpoczywam, dając folę okaleczałym od chodzenia stopom i drzemię ukojony wyczerpaniem aż do świtu. O drogi Wilhelmiu, dusza ma pożąda, jako najwyższej łaski, samotnej celi, włosiennicy i kolczastego pasa pokutnika. Bądź zdrow! nie widzę, poza grobem, końca tej niedoli.

3 września

Muszę jechać! Dziękuję ci Wilhelmiu, żeś przeważył szalę mych chwiejnych postanowień. Od dwu już tygodni noszę się z myślą, by się z nią rozstać. Muszę wyjechać. Ona jest znowu w mieście u swej przyjaciółki razem z Albertem... — muszę jechać!

10 września

Straszną miałem noc. Teraz, drogi Wilhelmiu, przetrwam już wszystko. Nie ujrzę jej nigdy! O, jakaż szkoda, że nie mogę zarzucić ci ręk na szyję i wśród łez i wzruszenia wyrazić ci uczuć, jakie przepełniają serce moje w tej chwili. Siedzę, dyszę ciężko i starając się uspokoić, czekam ranka, gdyż na chwilę wschodu słońca zamówiłem konie.

Ona śpi spokojnie i nie przypuszcza, iż mnie już nigdy nie zobaczy. Wyrwałem się, okazałem dość siły, by w ciągu dwugodzinnej pogawędki nie zdradzić swych zamiarów. Cóż to była za rozmowa, wielki Boże!

Albert przyrzekł mi, że zaraz po wieczery przyjdzie z Lotą do ogrodu. Stałem na tarasie pod rozłożystymi kasztanami i spoglądałem po raz ostatni stąd, jak słońce, zachodząc na krańcach uroczej doliny, tonęło w nurtach rzeki. Jakże często razem z nią rozkoszowałem się tym wspaniałym widokiem, a dziś... Zacząłem przechadzać się po alei, którą tak lubilem, tajemny pociąg uczuwałem zawsze do tego miejsca, zanim jeszcze poznałem Lotę i radowaliśmy się bardzo w początkach naszej znajomości, stwierdziwszy obopólne upodobanie do tego zakątka najromantyczniejszego, zaprawdę, jaki stworzyła sztuka ogrodnicza.

Z początku widok ściele się szeroko poprzez pnie kasztanów..., tak... tak... pamiętam, pisałem ci o tym... ściany zieleni otaczają wchodzącego, a aleja, łącząc się z drzewami przylegającego do niej zagajnika, staje się coraz to ciemniejsza i posępniejsza, aż kończy się nagle niewielką polanką bez wyjścia, budzącą w wędrowcu uczucie samotności i powagi. Pamiętam, jak miło mi było, — gdym się tam znalazł pewnego dnia letniego w samo południe, wydaje mi się, że miałem niejasne przeczucie, iż miejsce to będzie widownią szczęścia i bólu zarazem.

Spędziłem niespełna pół godziny na smętnym, a słodkim zarazem rozważaniu myśli rozstania i spotkania się kiedyś, gdym usłyszał kroki na terasie. Pospieszyłem naprzeciwno, z drżeniem ująłem i ucałowałem jej dłoń! Weszliśmy do alei, gdy właśnie księżyc wyłonił się spoza chmur. Rozmawiając o tym i owym, zbliżyliśmy się niepostrzeżenie do ponurego pawilonu. Lota weszła i usiadła na ławce, obok niej zajął miejsce Albert, a ja po drugiej stronie. Ale niepokój nie pozwolił mi usiedzieć, przeto wstałem, przechadzałem się chwilę i siadłem znowu. Byłem w przykrym stanie. Lota zwróciła naszą uwagę na piękny efekt światła księżycowego, oświetlającego jasno terasę, widzianą przez długi, ciemny tunel drzew. Widok był tym piękniejszy, że wokoło nas panował zupełny mrok. Milczeliśmy, a ona zaczęła po chwili: — Ile razy przechadzam się w świetle księżyca, zawsze przychodzą mi na myśl moi bliscy zmarli i wtedy rozmyślam o śmierci i przyszłym życiu. Będziemy żyli! — ciągnęła dalej głosem, wyrażającym najwznioślejsze przekonanie. — Ale czyż się spotkamy, Werterze, czy się poznamy? Mów pan, jak ci się wydaje?

— Loto, — odrzekłem z oczyma pełnymi łez, podając jej rękę — zobaczymy się tu i tam! — Nie mogłem dłużej mówić. Drogi Wilhelmie, czyż musiała mnie o to spytać dziś, gdym właśnie drżał, nosząc w sercu ową bliską rozłąkę.

— Czy umarli nasi wiedzą o nas? — ciągnęła dalej. — Czy odczuwają, co się z nami dzieje i czy uświadamiają sobie, że ich wspominamy z miłością. Jawi mi się zawsze

postać matki mojej, gdy cichym wieczorem znajdę się w kole jej dzieci, to jest moich dzieci, skupionych wkoło mnie, tak, jak gromadziły się wokoło niej samej. Wówczas zwracam zroszone łzą tęsknoty oko do nieba i pragnę, by spojrzała, by się przekonała, że dotrzymuję słowa danego w godzinie śmierci, iż będę jej dzieciom matką. Z głębokim uczuciem wołam w takiej chwili: — Przebacz mi droga moja, że może nie jestem im tym, czym ty im byłaś. Czynię, co mogę, są odziane, nie głodne, a także, co najważniejsze, pielęgnuję je i kocham. Czyż widzisz święta nasza, w jakiej żyjemy zgodzie? Jeśli widzisz, to możesz zaprawdę wielbić Boga, któregoś błagała o opiekę nad dziećmi, wylewając ostatnie, gorzkie łzy na tej ziemi.

Tak mówiła, Wilhelmie, a któż powtórzyć zdoła, co mówiła? Jakże zimna martwa litera wyrazić może ten niebiański wykwit ducha! Albert przerwał jej łagodnie: — Wiem, że dusza twa, droga Loto, ma upodobanie w tego rodzaju myślach, ale szkodzą ci one, przeto proszę cię bardzo... — Albercie! — podjęła na nowo. — Wiem, że nie zapomniałeś owych wieczorów, spędzonych wspólnie u małego, okrągłego stoliczka, kiedy ojca nie było w domu, a dzieci pokładły się spać. Miewałeś często dobre książki, ale mało kiedy byłeś w możności czytać je. Czyż obcowanie z tą piękną duszą nie było nam droższe ponad wszystko inne? O jakże wzniosłą, słodką, pogodną i niezmordowaną czynną była ta kobieta! Bóg jeden widział łzy moje, którymi zalana klękałam nieraz w łóżku błagając, by mnie uczynił podobną do niej!

— Loto! — zawołałem, przyklękając, ujmując jej dłoń i rosząc ją rześzystymi łzami. — Nad tobą czuwa błogosławieństwo boże i duch matki twojej. — Szkoda, że jej pan nie znałeś! — powiedziała, ściskając mą dłoń. — Warta była tego, byś ją pan poznał! — Zdało mi się, że zginę. Nikt nie wyrzekł o mnie szczytniejszego, dumniejszego słowa. Lota mówiła dalej: — Jakże smutno pomyśleć, że kobieta taka musiała opuścić ten świat w kwiecie wieku, kiedy najmłodsze jej dziecko miało ledwo pół roku. Chorowała krótko, żegnała się z życiem spokojnie, bez żalu, niepokoił ją tylko los dzieci, zwłaszcza młodszych. Gdy czuła, że się zbliża ostatnia chwila, powiedziała do mnie: — zawołaj dzieci! — Wprowadziłam malców, nie wiedzących, co się dzieje oraz starsze, przygnębione bardzo. Stały wkoło łóżka, ona wzniosła nad nimi ręce, pomodliła się, ucałowała każde i odprawiła, a potem zwróciła się do mnie: — Bądź im matką! — Przrzekłam jej i dałam rękę. — Obiecujesz dużo, moja córko! — powiedziała. — Musisz dać im serce matki i opiekę matki. Czuję, że wiesz, co to znaczy, mówią mi o tym łzy twoje. Dochowaj tedy ojcu twemu wierności i posłuszeństwa żony, a rodzeństwu serca.

Ty jedna zdołasz pocieszyć ojca. Spytała, gdzie jest. Wyszedł, chcąc ukryć straszny swój ból, tłoczący go do ziemi.

Byłeś Albercie w pokoju obok. Słyszac kroki, spytała kto to, potem wezwala cię do siebie i patrzyła długo, to na jedno, to na drugie, a spojrzenie miała spokojne, jakby pewną była, że będziemy szczęśliwi. — Albert objął ją za szyję, pocałował i zawołał: Jesteśmy już i będziemy zawsze szczęśliwi! — Spokojny zazwyczaj Albert, stracił równowagę w tej chwili, ja zaś, po prostu nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

— Pomyśl pan, Werterze — zwróciła się do mnie, — czy podobieństwo, by ta kobieta istnieć przestała! Boże, trudno sobie wyobrazić, że możemy pozwalać na to, by zabrano z domu coś, co nam było tak drogie! I tylko dzieci, odczuwające silniej, żalą się jeszcze przez długi czas, że czarni ludzie zabrali im mamę.

Wstała, ja się zbudziłem z marzeń, ale pozostałem na ławce i nie puszczałem jej ręki. — Musimy wracać, już czas! — powiedziała. Chciała uwolnić swą rękę, ale przytrzymałem ją silnie. — Spotkamy się! — zawołałem. — Poznamy się, rozpoznamy się, choćbyśmy przybrali odmienną postać! Idę, — dodałem — odchodzę bez oporu, tylko nie mam sił, nie jestem w stanie powiedzieć, że odchodzę... na zawsze! Bywaj zdrowa, Loto! Żegnam cię, Albercie! Zobaczymy się kiedyś... — Zaraz jutro! — zauważyła żartobliwie. Odczułem żywo to powiedzenie i nie spostrzegłem, kiedy wysunęła dłoń z mej ręki. Poszli aleją, ja zostałem, zobaczyłem ich w blasku światła księżycowego, padłem na ziemię i wypłakałem się, potem zerwałem się na nogi, pobiegłem na terasę i dojrzałem stamtąd jej białą suknię, połyskującą u furtki w cieniu wielkich lip. Wyciągnąłem ku niej ramiona, ale w tej chwili wszystko znikło.

## Część druga

20 października 1771

Wczoraj przybyliśmy tutaj. Konsul czuje się niezdrowym, przeto zatrzymamy się przez dni kilka. Wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko nie był tak niezdrowy. O, czuję dobrze, że los mi gotuje straszne przejścia. To nic, trzymajmy się ostro! Swobodny umysł zniesie wiele! Swobodny umysł... śmiech mnie bierze, gdy widzę, że słowo to napisać mogłem. Nieco więcej zaufania do siebie zdałoby mi się i uczyniłoby mnie najszczęśliwszym pod słońcem. Tam, gdzie inni, mając odrobinę zaledwo siły i zdolności, puszą się niby pawie i zażywają błogiego samozachwyty, tam ja

powątpiewam w mój talent i umiejętność. Boże, który mnie wyposażył tak obficie, czemuż nie zatrzymałeś połowy swych dobrodziejstw, zsyłając mi w ich miejsce bodaj trochę pewności siebie i skłonności poprzestawania na byle czym.

Trzeba być cierpliwym, a wszystko się zmieni na lepsze. Masz słuszność, przyznając ci, mój drogi. Czuję się nierównie lepiej, odkąd żyję pośród tłumu i patrzę na to, co ludzie robią i jak sobie radzą. Leży już w naturze ludzkiej, że porównujemy wszystko ze sobą, a siebie z wszystkim, przeto poczucie szczęścia i niedoli zawisło od tych rzeczy, z którymi się zestawiamy, a samotność jest wobec tego największym niebezpieczeństwem. Nasza wyobraźnia posiada skłonność do wzlatywania wysoko, a czerpiąc pokarm z fantastycznych mirażów poezji, stwarza mnóstwo istot fikcyjnych, w porównaniu z którymi jesteśmy nieskończenie mali, wszystko poza nami wydaje nam się wznioślejsze, a każdy doskonalszym od nas. I to dzieje się zupełnie naturalnie. Odczuwamy bardzo często swe braki, a to, czego nam brak, posiada często, jak nam się wydaje, ktoś drugi. Przyznając mu tę wyższość, wyposażamy go także i naszymi, własnymi zaletami, odczuwając w tym nawet pewne idealne zadowolenie. W ten sposób powstaje ów szczytny ideał, będący naszym własnym wytworem.

Pracując natomiast mozolnie i używając jeno własnych niewielkich sił, spostrzegamy częstokroć, że przy całej powolności i ucieraniu się z przeszkodami, doprowadzamy do czegoś więcej, niż inni, płynący pełnymi żaglami i dzierżący silnie ster, a wówczas, widząc, że dorównaliśmy innym, lub, żeśmy ich nawet wyprzedzili, osiągamy poczucie własnej wartości.

26 listopada

Zaczyna mi tu być jako tako. Najlepszym jest to, że pracy nie brak, a przy tym duszę moją bawi ta mnogość ludzi i rozmaitość nieznanych dotąd postaci, dająca nad wyraz ożywione widowisko. Poznałem hrabiego C... i z każdym dniem czuję dlań większy szacunek. Posiada umysł, ogarniający szerokie kręgi i głęboki, a przez to właśnie wolny od oschłości, że uwzględnia wszystko. W zachowaniu jego przebija zdolność odczuwania przyjaźni i miłości. Powziął dla mnie życzliwość, podczas załatwiania pewnej sprawy urzędowej, gdy zauważył od pierwszych zaraz słów, że się rozumiemy i że może mówić do mnie, jak nie do każdego. Nie mogę się nacieszyć jego życzliwym postępowaniem ze mną. Nie ma chyba większej, istotniejszej radości, jak gdy otwiera się przed nami prawdziwie wielka dusza.

24 grudnia

Mam mnóstwo przykrości do zniesienia od mego konsula, jak to zresztą przewidywałem. Jest to pedantyczny cymbał, jakich mało na świecie, powolny i drobiazgowy, jak stara kumoszka. Nigdy nie jest zadowolony z siebie, przeto niczym go zadowolić nie sposób. Pracuję chętnie i łatwo i nie cierpię poprawek. On zaś ma pasję zwracać mi dany elaborat i powiada zawsze: — Dobrze pan napisał, ale przejrzyj pan to jeszcze raz, zawsze można znaleźć odpowiedniejsze wyrażenie, czy jaśniejszy zwrot! — Diabli mnie biorą nieraz. Nie ścierpi, by brakło jednego choćby — i, — jednego spójnika, a wrogiem śmiertelnym jest wszelkich dowolności w szyku zdania, jakie mi się często nasuwają pod pióro. Nie rozumie po prostu obrazu, nie odrzępolonego wedle szacownych, prastarych zasad melodii, obowiązujących katarynkę. Okropna to rzecz mieć z takim człowiekiem do czynienia.

Nagrodą jedyną jest mi zaufanie hrabiego C... Niedawno wyznał mi otwarcie, że jest bardzo niezadowolony z guzdralstwa i drobiazgowości mego konsula. — Ludzie — powiedział — mają upodobanie w utrudnianiu sobie samym i innym wszystkiego. Ale trzeba się z tym pogodzić, podobnie, jak musi pogodzić się z istnieniem góry wędrowiec. Gdyby jej nie było, oczywiście, droga byłaby wówczas krótsza i łatwiejsza, ale ponieważ góra istnieje, przeto trzeba się na nią wspinać!...

Mój szef domyśla się naturalnie, że hrabia woli mnie od niego, to go złości, a skutkiem tego korzysta z każdej sposobności, by obmawiać hrabiego przede mną. Ja, naturalnie, stoję po jego stronie, a to sprawę jeszcze bardziej pogarsza. Wczoraj wyprowadził mnie z równowagi, gdyż przy okazji i mnie też przypiął łatkę. — Hrabia — powiedział — interesuje się całym światem i do tego jest jedyny, praca mu idzie jak z płatką i ma łatwość pióra, ale brak mu gruntownej wiedzy, co jest zresztą wadą wszystkich dyletantów literatury i sztuki. — Zrobił przy tym minę, jakby pytał: — Czyś się dorożumiał, że to do ciebie pite? — Ale nie odniosło to żadnego skutku, gdyż pogardzam ludźmi, mogącymi tak myśleć i w ten sposób postępować. Stawiłem mu czoło i dyskutowałem z pewnym uniesieniem. Powiedziałem, że człowiek taki, jak hrabia, budzić musi szacunek, tak ze względu na swój charakter, jak też i wiedzę. — Nie znam — powiedziałem — nikogo, komu by się powiodło rozszerzyć zakres swych wiadomości na tak rozliczne przedmioty, nie zatacając jednocześnie zainteresowania

dla pospolitych spraw bieżącego życia. — Było to, dla jego ciasnego rozumu bajką o żelaznym wilku, przeto oddaliłem się, nie chcąc dalszą gadaniną jego burzyć sobie żółci.

Wyście winni temu wszyscy, namówiliście mnie bowiem do podjęcia owego jarzma, rozwodząc się szeroko o potrzebie rozpoczęcia czynnego życia. Czynne życie? Zaprawdę, jeśli człowiek, sadzący ziemniaki i wożący na sprzedaż do miasta zboże, nie wie o czynniejszego życia ode mnie, to zgodzę się jeszcze przez dziesięć lat wykonywać tę pracę galernika, przykuty łańcuchem, na który mnie wzięła owa bajka o czynnym życiu.

Poza tym cóż za błyszcząca nędza, jakaż nuda panuje pośród owych miernot, zebranych tu pospołu. A jakaż wre pomiędzy nimi walka o pierwszeństwo, jakże czyhają zawzięcie, by bodaj krokiem uprzedzić drugiego, jakież nędzne, jak poziome, zgola nieosłonięte niczym namiętnostki wypełniają ich dusze? Jako przykład podaję pewną kobietę. Rozповіда ona każdemu szeroko o swym szlacheństwie i swych posiadłościach, tak, że ktoś obcy musiałby ją wziąć za głupią gęś, zarozumiałą do niemożliwości ze swego pochodzenia, oraz sławy swego kraju i swych przodków. Tymczasem jest o wiele gorzej, gdyż owa osoba pochodzi z tych stron i jest córką biednego gryzipiórka. Nie mogę pojąć, by ludzie mieli tak mało zastanowienia i świadomości, że poniżają się sami i hańbią.

Przekonywam się, mój drogi, z dniem każdym dowodniej, że nie należy sądzić innych podług siebie, ale ponieważ mam tak dużo do czynienia z sobą samym i własnym, nieokiełzanym sercem, przeto najchętniej pozwalam każdemu kroczyć własną ścieżką, byleby mi inni nie przeszkadzali czynić, co mi się podoba.

Najbardziej drażnią mnie fatalne zapatrywania na mieszczaństwo i różnice stanowe. Zdaję sobie równie dobrze, jak każdy inny, sprawę z tego, że różnice, dzielące poszczególne stany są potrzebne, oraz ile mnie samemu przysparzają korzyści. Ale niechże nie stają mi na drodze tam właśnie, gdzie mogę zażyć jeszcze bodaj trochę radości, bodaj odrobiny szczęścia na świecie. Poznałem się niedawno na przechadzce z niejaką panną B... Jest to miła osoba, która zdołała zachować dużo prostoty wśród całego tego sztywnego otoczenia. Rozmawialiśmy bardzo przyjemnie, a przy pożegnaniu poprosiłem, by mi pozwoliła się odwiedzić. Zgodziła się na to tak ochotnie, że ledwo mogłem się doczekać sposobnej chwili, by pójść do niej. Nie pochodzi z tych okolic, a mieszka razem z ciotką. Ta ciocia nie spodobała mi się od razu. Zachowałem się jednak wobec niej bardzo uprzejmie, mówiąc, zwracałem się przeważnie do niej i w ciągu pół godziny dowiedziałem się pewnych szczegółów, a mianowicie, że, jak mi to

później potwierdziła siostrzenica... czcigodna dama cierpi na starość niedostatek, niczego nie posiada: ani majątku, ani inteligencji, całą jej ostoją jest długi szereg przodków oraz stan, wśród którego murów zabarykadowała się, poprzestając na tej rozkoszy, by z wyżyn swoich spoglądać z pogardą na marny tłum mieszczuchów. Podobno była piękna w młodości, przebaraszkowała życie, zrazu dręczyła różnych biednych młodzieńców, zaś w wieku dojrzałym ugięła się pod jarzmo małżeńskie pewnego starszego oficera, z którym za tę cenę i znośne utrzymanie przeżyła czas jesieni życia, a potem go pogrzebała i na starość została samotna. Nie miano by dla niej teraz żadnych względów, gdyby nie siostrzenica, posiadająca sympatię wszystkich.

8 stycznia 1772

Straszni to zaiste ludzie, wkładający całą duszę w ceremoniał i wysilający się całymi latami na to, by posunąć się o jedno bodaj miejsce wyżej przy stole. Nie brak im wcale innego zajęcia, przeciwnie, mnóstwo rzeczy zalega właśnie dlatego, że drobnostkowe utarczki nie pozwalają im jąć się spraw ważnych. W zeszłym tygodniu przez głupi zatarg w sprawie jazdy sankami cała przyjemność poszła na marne.

Naiwni to ludzie, nie zdają sobie bowiem sprawy z tego, że w istocie rzeczy pierwsze miejsce nie ma żadnego znaczenia, gdyż ten, kto je zajmuje, rzadko odgrywa główną rolę! Iluż królów podlega władzy ministrów, a jak często minister pełni wolę swego sekretarza! Któż jest w takim razie pierwszym? Ten, wydaje mi się, kto przeniknie innych i przemocą, czy chytrą umie użyć ich namiętności i sił do spełnienia swych zamierzeń.

20 stycznia

Piszę do pani, droga Loto, w małej karczemce wiejskiej, dokąd zapędziła mnie burza. Odkąd przebywam w tej smętnej norze, D..., pośród ludzi tak całkiem obcych memu sercu, nie miałem chwili, by mi dusza się nie rwała do skreślenia do pani słów paru. I tutaj byłaś pani pierwszą myślą moją, w tej chałupce, samotnej i ciasnej, gdzie siedzę i patrzę na śnieg, smagający szyby małego okienka. Gdym jeno wszedł, przypomniałem sobie twą postać i duszę twą Loto z taką gorącą czcią! Boże mocny! To pierwsza szczęсна chwila!

O, czemuż mnie nie widzisz, droga moja, ogarnionego tym wirem! Umysł mój marnieje, nie miałem ni na moment pełni odczuwania, ani jednej szczęsnej godziny! Nic! Nic! Mam wrażenie, jakbym stał przed czarodziejską szkatułą, widzę małych ludzi, koniki itp., wszystko to rusza się, a ja pytam, czy to nie jest jakieś optyczne złudzenie. Sam odgrywam jakąś rolę, a raczej ruszają mną, jak marionetką, dotykam czasem drewnianej ręki sąsiada i czuję dreszcz grozy. Wieczorem postanawiam zobaczyć wschód słońca i nie ruszam się z łóżka. W ciągu dnia obiecuję sobie ucieszyć oczy światłem księżyca i nie wychylam się z pokoju. Nie wiem, doprawdy całkiem, po co się budzę i po co idę spać.

Zaczyn, utrzymujący życie moje w napięciu, przepadł gdzieś, podnieta, która mi po nocach sen spędzała z powiek, a świtem budziła na nowo, przestała istnieć.

Jedyną naprawdę niewieścią istotą, jaką tu poznałem, jest panna B..., podobna jest do pani, o ile do pani w ogóle może być ktoś podobny. Powie pani może, że siłę się na płytke komplementy? Jest w tym nieco prawdy. Od niejakiego czasu stałem się bardzo ugrzeczniony, bo inaczej być nie może, dowcipkuję, a kobiety twierdzą, że nikt nie potrafi lepiej chwalić ode mnie (i kłamać... dodają..., bo bez tego ani rusz..., rozumie pani?). Wracam do panny B... Dusza wyziera z jej oczu, a stanowisko społeczne ciąży jej, nie zadowolniając pragnień serca. Pragnie uciekać z tego rojowiska ludzkiego, snujemy tedy godzinami całymi marzenia, zażywając szczęścia, śniąc o życiu na wsi, ach, i o pani! Nieustannie zachwycać się panią musi, nie musi raczej, czyni to ochotnie, słucha o pani z ochotą, kocha panią!

O, czemuż nie mogę usiąść u stóp twoich w uroczym, niezapomnianym pokoiku i patrzeć na igraszki naszych drogich malców. Czemuż, kiedy stają się zbyt dla ciebie, pani, hałaśliwe, nie mogę ich uciszyć opowieścią straszliwej bajki jakiejś.

Słońce zachodzi, przelśniewając cudną biel okrytego śniegiem widnokregu, burza minęła. A ja muszę nadal pozostać w mej klatce... Żegnam panią! Czy Albert przy pani?... A czy... Boże, przebacz mi to pytanie!

8 lutego

Od tygodnia pogoda jest okropna, ale mnie z tym bardzo dobrze. Odkąd tu jestem, nie miałem ni jednego dnia pogody, którego by mi ktoś nie zepsuł i nie zatruł. Gdy deszcz pada, wicher dmie, mróz ściska albo odwilż nadchodzi, natenczas myślę sobie: i w domu nie może być chyba gorzej, jak na dworze, czy przeciwnie i wtedy czuję się

zadowolony. Kiedy zaś rankiem spostrzegam, że słońce świeci i zapowiada się dzień piękny, nie mogę się powstrzymać, by nie zawołać: oto ludziom nastercza się znowu sposobność pozbawienia się wzajem tego daru nieba. Odbierają jedni drugim na przemian wszystko: zdrowie, sławę, radość, spoczynek, a przeważnie przez głupotę, brak zrozumienia i ciasnotę umysłu, co zresztą czynią, jak twierdzą, ...w najlepszej myśli! Czasem zbiera mnie ochota rzucić się na kolana i błagać ich, by nie grzebali z taką zaciekłością we własnych wnętrznościach.

17 lutego

Zdaje się, że z konsulem dłużej nie wytrzymam, ani on ze mną. To człowiek wprost nie do zniesienia. Załatwia sprawy i wykonywa swe obowiązki w sposób tak śmieszny, że nie mogę się powstrzymać od czynienia mu na przekór i postępuję wedle własnego zapatrywania, co mu oczywiście jest bardzo nie na rękę. Wniósł na mnie zażalenie do dworu, a minister udzielił mi lekkiej co prawda przygany, ale dotknęła mnie ona tak, że miałem już wnieść prośbę o dymisję, kiedy otrzymałem od niego list prywatny. Treść listu była tego rodzaju, że ukląknę z podziwu dla szlachetności i mądrości tego człowieka. W podziwieniu godny sposób karcąc on mą nadmierną wrażliwość, uznaje me przesadne zresztą zapatrywania na potrzebę czynu, oddziaływania na innych i przejęcie się sprawą, jako zapal młodzieńczy, nie chce zniszczyć owych zalet, ale jeno złagodzić i tam je pragnie skierować, gdzie mogą mieć odpowiednie pole działania i wyrzucić swój skutek. Uczułem się wzmocniony na duchu na cały tydzień i pogodzony ze sobą. Cudna to rzecz spokój duszy i zadowolenie ze siebie. O, gdybyż jeno, drogi przyjacielu, klejnot ten nie był równie kruchy, jak jest cenny i piękny!

20 lutego

Niechże was, drodzy moi, Bóg błogosławi i darzy wszystkim dobrem, którego mnie odmówił!

Dziękuję ci, Albercie, żeś mnie zwiódł. Czekałem zawiadomienia o dniu waszych zaślubin, postanowiłem w ten dzień zdjąć uroczyście ze ściany sylwetkę Loty i pogrzebać ją pod stosem innych papierów. Już jesteście pobrani, a wizerunek jeszcze wisi! Niechże zostanie, wiem, że i ja biorę w tym udział, bez szkody dla ciebie zajmuję drugie miejsce w sercu Loty, chcę i muszę tam pozostać! Oszalałbym chyba, gdyby mnie

zapomniała. Ta myśl, Albercie, to piekło prawdziwe! Bądź zdrow, Albercie! Żegnam cię aniele niebiański! Żegnam cię Loto!

15 marca

Doznałem przykrości, która mnie stąd wypędzi. Zgrzytam zębami! Do licha! Nie da się to już naprawić, a winę ponosicie wy wszyscy, zachęcając mnie, dręcząc i nagląc, bym objął stanowisko, które mi zupełnie nie odpowiadało. Mam tedy ja i macie wy nagrodę zasłużoną! Abyś zaś nie mówił, że zepsuły całą rzecz moje narwane poglądy, opisuję ci wszystko tak szczegółowo i jasno, jakby to uczynił zawodowy kronikarz.

Hrabia C... lubi mnie i wyróżnia, wiesz to dobrze, bom ci donosił o tym sto razy. Znalazłem się u niego wczoraj na obiedzie, a był, to właśnie dzień, w którym schodzą się doń wieczorem wszyscy utytułowani panowie i dystyngowane damy. Nie myślałem o nich wcale i nie przyszło mi na myśl, że dla podwładnego urzędnika nie ma miejsca w ich towarzystwie. Krótko mówiąc, byłem na obiedzie, a po jedzeniu udaliśmy się do salonu recepcyjnego. Chodziłem tam i z powrotem, rozmawiałem z hrabią, potem z pułkownikiem B..., który się zjawił, niepostrzeżenie nadeszła godzina przyjęcia. Dalibóg, nie zauważyłem tego. Nagle weszła najdostojniejsza pani S... z arcywielmożnym małżonkiem i należycie wylęgniętą gąską, córunią swą o zapadłych piersiach i uroczym odwłoku. Przeszły mimo i podniosły dumnie do góry swe wysoko urodzone oczy i dziurki w nosie. Mając serdeczny wstręt do tej bandy, chciałem się pożegnać i czekałem tylko, by hrabia uwolnił się na moment od tych plotkarzy obmierzłych, gdy zjawiła się moja panna B... Ponieważ na jej widok trochę ciepło mi się robi w sercu, pozostałem i stanąłem za jej krzesłem. Po chwili dopiero zauważyłem, że rozmawia ze mną z mniejszą, jak zazwyczaj szczerością, a nawet z pewnym zakłopotaniem. Uderzyło mnie to. Pomyślałem, że niczym się nie różni od reszty zebranych, uczułem się dotkniętym i chciałem odejść. A jednak zostałem, gdyż zapragnąłem nabrać o niej innego wyobrażenia, nie dowierzałem własnemu sądowi, chciałem posłyszeć bodaj jedno ciepłe słówko..., chciałem po prostu... myśl sobie zresztą co chcesz! Tymczasem salon się zapełnił. Przybył baron F..., w garderobie z czasów koronacji Franciszka I, radca dworu R..., zwany tu po prostu panem R... wraz ze swą przygłuchą żoną..., dalej zmiętoszony zawsze I..., którego strój starofrankoński dopełniany był nowożytną tandetą..., słowem, znalazło się całe stado. Rozmawiałem z kilku znajomymi, ale wszyscy byli bardzo małomówni. Dziwiłem się, lecz myślałem

tylko o mojej pannie B... Nie spostrzegłem, że damy w drugim końcu salonu szepcą sobie coś, że szept ten ogarniać zaczyna również mężczyzn, że pani S... coś powiedziała gospodarzowi domu (wszystko to opowiedziała mi potem panna B...), aż na koniec zbliżył się hrabia C... i pociągnął mnie ku oknu. — Zna pan — powiedział — tutejsze poglądy na różnice stanu? Towarzystwo, jak widzę, nierade jest obecności pańskiej! — O, przepraszam bardzo, ekscelencjo! — odparłem — nie chciałbym za nic..., proszę o łaskawe przebaczenie... winienem był o tym wcześniej pomyśleć... proszę, racz mi pan, panie hrabio darować tę niekonsekwencję... Chciałem już nawet iść, ale zatrzymał mnie mój zły geniusz! — dodałem z uśmiechem, składając ukłon. Hrabia uściśnął mi dłoń z uczuciem, które wyrażało wszystko. Wysunąłem się cicho z salonu, wyszedłem na ulicę, siadłem do kabrioletu i pojechałem do M..., by tam z pagórka zobaczyć zachód słońca, a potem odczytać w Homerze wspaniałą pieśń o gościnie Ulissesa u zacnego świniopasa. To było wyśmienite.

Wieczorem udałem się na wieczerzę. Było kilka osób w gospodzie. Grali w kości na rogu stołu, odwinąwszy nakrycie. Naraz wchodzi przezacny Adelin, wiesza kapelusz, spogląda na mnie, zbliża się i mówi z cicha: — Spotkała cię nieprzyjemność? — Mnie? — zawołałem. — Hrabia wyprosił cię z towarzystwa! — Niech ich diabli biorą! — odrzekłem. — Z przyjemnością wydostałem się na świeże powietrze! — Dobrze, — zauważył — że sobie z tego wiele nie robisz, tylko przykro mi, że o tym wszyscy mówią! — Teraz dopiero zaczęła mnie gryźć cała sprawa. Zdawało mi się, że wszyscy wchodzący do sali spoglądają na mnie z tego właśnie powodu. Kipiało we mnie.

Gdziekolwiek się dzisiaj pokażę, wszyscy wyrażają mi swe współczucie, a zawistni triumfują, mówiąc: tak się dzieje pyszałkom, którzy mając ledwo odrobinę rozumu w głowie myślą, że ich to upoważnia do przekraczania wszelkich granic i do nieliczenia się ze stosunkami. Gadają różności bez końca, a ja mam się ochotę pchnąć nożem. Niech kto co chce mówi o poczuciu własnej godności, ale chciałbym widzieć człowieka, który znosi bez urazy, gdy bezkarnie ostrzy sobie na nim języki hołota, mająca nad nim przewagę. Gdyby ta gadanina nie miała podstawy... a... to co innego..., można sobie z niej kpić.

16 marca

Wszyscy się na mnie sprzysięgli. Spotkałem dzisiaj w alei pannę B... i nie mogłem się powstrzymać, aby, kiedyśmy się trochę oddalili od towarzystwa, nie dać jej odczuć

żału z powodu jej zachowania się. — Jakże mogłeś, Werterze, znając moje serce — odrzekła tonem serdecznym w ten sposób wytłumaczyć sobie moje zmieszanie. Wycierpiałam wiele z powodu pana od chwili wejścia do salonu. Przeczynałam, co się stanie i pragnęłam kilka razy ostrzec pana. Byłam pewna, że zarówno pani S..., jak i T..., raczej wyniosą się z salonu wraz ze swymi mężami, jakby miały znieść towarzystwo pańskie. Wiedziałam też, że hrabia nie może narazić się na zatarg z nimi. Ach..., a... ta cała gadanina! — Jakto proszę pani? — spytałem, a wszystko, czego się onegdaj dowiedziałem od Adelina, przemknęło mi przez duszę, niby fala płomienna. — Ileż wycierpiałam do tej pory! — zawołała słodka ta istota z oczyma pełnymi łez. Przestałem panować nad sobą, miałem ochotę paść jej do nóg. — Mów pani wszystko! — zawołałem. Łzy spływały jej po policzkach. Otarła je, nie kryjąc się z tym wcale. — Znasz pan moją ciotkę, — powiedziała — była na zebraniu i patrzyła na całe zajście z oburzeniem. Musiałam zeszłej nocy i dziś rano wysłuchać strasznego kazania na temat znajomości z panem. Musiałam słuchać słów złych, zawistnych, poniżających pana, i nie mogłam cię nawet bronić, jakbym pragnęła.

Każde słowo przenikało, niby miecz serce moje. Nie czuła, jaką by mi wyświadczyła łaskę, zatajając to wszystko przede mną przez samą litość. Nie poprzestając na tym, dodała jeszcze wszystko, co ludzie mówią i mówić będą i wyliczyła tych, którzy będą się radować i triumfować. Rozwodziła się, że uważać będą mą przygodę, jako karę za me zuchwalstwo i lekceważenie innych, co mi już od dawna zarzucano i rozprawiała szeroko, jak ich to musi cieszyć i śmieszyć zarazem. Popadłem w rozpacz, a wściekły jestem dotąd, rad bym przebić szpadą śmiałka, który by się ośmielił słowo rzec i czuję, że tylko widok krwi mógłby mnie uspokoić. Sto razy chwyciłem nóż, by ulżyć zbolełemu sercu. Podobno konie szlachetnej rasy, gdy są zdenerwowane biegiem i przedrażnione, instynktownie nagryzają sobie żyłę, by upuścić krwi i przyjść do siebie. I ja też często rad bym sobie otworzyć żyłę, by uzyskać wolność wieczystą.

24 marca

Poprosiłem o zwolnienie ze służby i mam nadzieję, że uzyskam to u dworu. Wybaczcie, że nie starałem się uprzednio o waszą zgodę na to. Nie mogłem pozostać na stanowisku, a z góry wiedziałem, co usłyszę, jak mnie będziecie namawiali, przekonywali, wszystko wiem... i dlatego... Uwiadom o tym matkę w sposób oględny. Sam sobie poradzić nie umiem, przeto nic dziwnego, że dla niej żadnej rady nie mam.

Odczuje to boleśnie, wiem dobrze. Pożałuje pięknej kariery syna, która zawieść go mogła do dostojenstw tajnego radcy, czy ambasadora, a tak nagle się skończyła i rumak bojowy wrócił do stajni. Myślcie, co chcecie, rozważajcie wszystkie możliwe sposoby i okoliczności, w których mógłbym zatrzymać stanowisko... ja odchodzę. Jeśli chcecie wiedzieć, co ze sobą pocznę, to donoszę wam, że książkę \*\*\*, którego poznałem, polubił mnie i chętnie ze mną przestaje. Posłyszawszy, o mym postanowieniu, zaprosił mnie do siebie na wieś na całą wiosnę. Zapewnił mi zupełną swobodę, ponieważ zaś do pewnego stopnia rozumiemy się, przeto zaryzykuję i pojedę z nim.

19 kwietnia

Post scriptum.

Dziękuję ci za oba listy. Nie odpowiadałem, czekając z wysłaniem listu aż do otrzymania zwolnienia ze służby, gdyż obawiałem się, że matka zwróci się do ministra i utrudni mi przeprowadzenie zamiaru. Ale już po wszystkim: zwolnienie mam. Nie chcę wam mówić, z jaką niechęcią mi go udzielono i co mi napisał minister, gdyż zaczęlibyście narzekać. Następca tronu przysłał mi na pożegnanie dwadzieścia pięć dukatów i skreślił kilka słów, które mnie do łez wzruszyły. Nie potrzebuję przeto brać od matki pieniędzy, o które niedawno prosiłem.

5 maja

Wyjeżdżam stąd jutro, ponieważ zaś me miejsce rodzinne leży w odległości zaledwo sześciu mil od drogi, którą pojedę, przeto wstąpię tam, by odświeżyć wspomnienia dawnych, szczęśnych, prześnionych czasów. Wjadę tą samą bramą, którą wywiozła mnie po śmierci ojca matka po to, by się zamknąć w obrzydliwym mieścisku. Bądź zdrów, Wilhelmie, doniosę ci o szczegółach mej podróży.

9 maja

Odbyłem z nabożnym skupieniem pielgrzymą wędrówkę do miejsc rodzinnych i wznieciła ona we mnie dużo niespodziewanych uczuć. Kazałem zatrzymać konie pod starą lipą, stojącą o kwadrans drogi od miasta S. Wsiadłem i poleciwszy pocztylionowi jechać dalej, ruszyłem pieszo, chcąc nacieszyć się wedle upodobania dawnymi,

wskrzeszonymi wspomnieniami. Stałem oto pod lipą, będącą za czasów chłopięcych celem i ostatnim kresem mych przechadzek. Jakże się wszystko zmieniło! Wówczas, szczęśliwy nieświadomością rwałem się w świat nieznany, który obiecywał tyle pokarmu dla serca, tyle rozkoszy, mających wypełnić i zaspokoić łaknącą i utęsknioną duszę. Teraz, przyjacielu drogi, wracałem z rozłogów świata po utracie wielu nieziszczonych nadziei i zburzonych planów. Przede mną widniały góry, ów cel mych nieustannych pożądań. Siadywałem tu godzinami i tęskniłem do nich, pragnąc całą duszą błąkać się po borach i dolinach, wabiących z tej uroczej, mglistej dali. Z jakąż niechęcią opuszczałem ulubione to miejsce, zmuszony o pewnej porze powracać! Zbliżyłem się do miasta, pozdrawiając znane z dawna domostwa, okolone ogródkami. Na nowe spoglądałem z urazą i takie same uczucia budziły we mnie wszystkie inne zmiany. Wszedłem bramą i od razu poczułem się u siebie. Drogi mój, nie chcę rozwodzić się szczegółowo: to, co mi sprawiało tak wielką rozkosz, wydałoby się w opowiadaniu bezbarwne i nużące. Postanowiłem zamieszkać w rynku tuż obok naszego dawnego domostwa. Po drodze zauważyłem, że szkoła, gdzie zacna, stara nauczycielka więziła taki tłum młodych istot, zamieniona została na kram. Wspomniałem wycierpianą w owej norze tęsknotę, wypłakane łzy, dławiące oszołomienie i strach, uciskający serce. Za każdym krokiem napotykałem rzeczy godne uwagi. Zaprawdę, pielgrzym w Ziemi Świętej nie odnajduje może tylu pamiątek wiary, a trudno chyba, by duszę jego przenikało świętsze wzruszenie. Oto jedno z tysiąca przeżyć: Szedłem z biegiem rzeki, aż do pewnej zagrody, kędy wędrowałem dawniej i gdzie stale puszczaliśmy kaczki po wodzie. Tutaj szliśmy ze sobą o lepsze, czyj kamyk najwięcej uczyni skoków po fali. Pamiętam dobrze, jak często patrzyłem w płynącą wodę, rojąc cuda niesłychane. Jakże fantastycznym wydał mi się kraj, w który dąży, i jakże rychło natrafiałem na przeszkodę dla wyobraźni. Ale nie dawała się opanować, biegła dalej, dalej, i tonąłem w kontemplacji niedosiężonej wzrokiem dali. Tak, powiadam ci, naiwnymi i tak szczęśliwymi byli przodkowie nasi, tak dziecięce żywili uczucia i taką była ich poezja. Wyrażenia Ulissesa o „niezmierzonym morzu”, o „nieskończonej ziemi” jest tak prawdziwe, tak czysto ludzkie, tak pełne tajemnic. Cóż mi z tego, że mogę dziś za każdym uczniakiem powtarzać, że ziemia jest okrągła? Człowiekowi starczy kilku zagonów, by żyć i używać życia, a mniej jeszcze, by spocząć pod ziemią.

Bawię tutaj w książęcym zameczku łowieckim i nieźle mi z jego właścicielem, jest bowiem szczery i pełen prostoty. Otaczają go jednak dziwni ludzie, których nie pojmuję. Nie są to ludzie źli, a przecież nie wyglądają na uczciwych. Czasem — wydają się nawet

całkiem dobrymi, ale ufać im nie mogę. Często aż przykro mi słuchać, jak książę mówi o różnych rzeczach, które słyszał i czytał, nie zdając sobie sprawy, że powtarza biernie obce zapatrywanie, nie zaś własne, mimo że je za swoje uważa.

Ceni też wyżej mój rozum i talenty niż serce, z którego przecież jestem dumny, gdyż ono jest źródłem całej mojej siły, mego szczęścia i niedoli. To co wiem, osiąść może każdy, tylko serce me jest moją wyłącznie własnością.

25 maja

Miałem pewien zamiar, o którym nie chciałem wam wspominać przed wykonaniem, teraz, kiedy nic z tego nie będzie, widzę, że się dobrze stało. Chciałem wziąć udział w wojnie i leżało mi to długo na sercu. Z tego nawet powodu zgodziłem się przyjechać tu z księciem, który jest generałem w służbie ...skiej armii. Plan swój opowiedziałem mu podczas jednej z przechadzek, ale odradził mi to i dałem się przekonać jego argumentom, bo było to we mnie nie tyle namiętnością, jak zachcianką.

11 czerwca

Cokolwiek byś na to powiedział, nie wytrzymam tutaj dłużej. Cóż tu po mnie? Czas mi się tylko dłuży. Książę zachowuje się wobec mnie z całą uprzejmością, a mimo to nie czuję się na swoim miejscu. W gruncie rzeczy nie mamy ze sobą nic wspólnego. Jest on człowiekiem rozumnym, ale nieoryginalnym i towarzystwo jego nie ma dla mnie większego uroku, jak przeczytanie dobrze napisanej książki. Zabawię tu jeszcze tydzień, a potem udam się znowu na tułaczkę. Najlepiej z wszystkiego szło mi tu jeszcze rysowanie. Książę odczuwa sztukę, a miałby jeszcze większe jej zrozumienie, gdyby nie to, że tkwi głęboko w szkaradnej erudycji i pospolitej terminologii. Czasem zgrzytam zębami, bo podczas gdy uniesiony zapałem, ukazuję mu cuda natury i sztuki, on sądząc, że się popisuje, wyjeżdża zaraz z jakimś urzędowym terminem technicznym.

16 czerwca

Jestem, zaprawdę, jeno wędrowcem, pielgrzymem na tej ziemi! Czyż wy jesteście czymś więcej?

18 czerwca

Powiem ci w zaufaniu, gdzie się udać zamierzam. Muszę się tu jeszcze zatrzymać przez dwa tygodnie. Potem, jak to sam w siebie wmówiłem, chcę zwiedzić kopalnie w \*\*. Ale to nieprawda, chcę być tylko bliżej Loty, oto cały sekret. Śmieję się z własnego serca, a czynię, co ono chce.

29 lipca

Dobrze, już dobrze!... Ach, gdybym mógł zostać jej mężem! Boże, któryś mnie stworzył, za tę rozkosz cała reszta życia stałaby się jedną dziękczynną modlitwą do ciebie! Ale nie chcę dochodzić swych praw, przebac mi więc łzy moje, przebac mi daremne pragnienia!... Gdyby ona była żoną moją...! Gdybym mógł tę najcudniejszą pod słońcem istotę objąć w ramiona!... Całego mnie przenika, Wilhelmiu, dreszcz, gdy pomyślę, że Albert obejmuje jej smukłą kibić.

A przecież mogę powiedzieć..., czemuż bym nie miał tego powiedzieć, Wilhelmiu..., ona byłaby ze mną szczęśliwszą, jak z nim! On nie jest w stanie odczuć pragnień takiego serca. Brak mu wrażliwości, mów co chcesz ...serce jego niezdolne jest uderzać współmiernie, kiedy idzie... ach... o pewien np. ustęp ulubionej książki, podczas gdy moje i Loty serca rozumieją się tak doskonale; a tak samo w licznych innych chwilach, kiedy uczucia nasze ujawniać się zwykły w ocenie czynów osób trzecich. Wilhelmiu drogi..., on mimo to kocha ją z całej duszy, a na cóż nie zasługuje miłość taka?... Pewien niezdolny człowiek przeszkodził mi. Łzy przestały płynąć. Nie wiem co pisać. Bądź zdrow, mój drogi.

4 sierpnia

Nie mnie jednemu tak się dzieje. Nadzieje wszystkich ludzi kończą się rozczarowaniem, a to, czego oczekują, idzie na marne. Złożyłem wizytę mej pocziwej znajomej pod lipą. Najstarszy chłopak wybiegł witać mnie, a okrzyki radosne przywabiły matkę. Była bardzo przygnębiona. Powiedziała od razu: — Proszę pana, umarł mi mój Janek! — Był to syn najmłodszy. Nie wyrzekłem ni słowa. — A mąż mój — dodała — wrócił ze Szwajcarii, nic nie przyniósł, gdyby nie pomoc zacnych ludzi, musiałby iść o żebraczym kiju, a w dodatku rozchorował się w drodze na febrę. — Nie

mogłem wyrzec słowa, dałem jakąś drobną kwotę chłopcu, biedna kobieta poprosiła, bym przyjął od niej kilka jabłek, uczyniłem to i oddaliłem się, unosząc smutne wspomnienia.

## 21 sierpnia

Jakbym obrócił kartkę, wszystko od razu zmieniło się we mnie. Czasem świta upojny błysk dawnego życia..., ale na moment jeno! Marzę i napływa myśl, której się obronić nie mogę: — A gdyby tak Albert umarł? Wówczas ja... tak... wówczas ona.... Snuję dalej urojenia, daję się im unosić, idę aż nad sam brzeg przepaści i na jej widok cofam się przerażony.

Wychodzę bramą i stąпам drogą, przebytą po raz pierwszy w dniu, kiedy jechałem po Lotę, by ją zabrać na bal. Jakże się wszystko zmieniło! Minęło..., wszystko minęło! Ni śladu tego dnia, ni drgnienia onych uczuć dawniejszych. Jako duch wracam w spalony, zburzony zamek, który wybudował w kwiecie wieku swego potężny książę, wyposażył wspaniale we wszystko i w pełni nadziei pozostawił ukochanemu synowi.

## 3 września

Nie pojmuję doprawdy, jak ją może, jak śmie kochać inny, gdy ja ją kocham tak wyłącznie, tak bardzo, tak gorąco, kiedy niczego ponad nią nie znam, nie widzę i nie posiadam!

## 4 września

Tak jest zaiste. Przyrodę ogarnia jesień i jesiennie robi się we mnie i wokół mnie. Liście moje żółknieją, a liście drzew zaczynają opadać. Wszakże pamiętasz, co ci pisałem o owym parobczaku, którego spotkałem tu zaraz po przybyciu. Spytałem o niego po powrocie do Wahlheimu i dowiedziałem się, że wygnano go ze służby i że nikt się o niego nie troszczy. Spotkałem go wczoraj w drodze do wsi sąsiedniej, zaczęliśmy, a on opowiedział mi swe dzieje. Wzruszyły mnie bardzo, czemu dziwić się nie będziesz, gdy ci je powtórzę. Chociaż nie wiem czemu to czynię, czemu nie zachowuję dla siebie wszystkiego, co mnie smuci i gnębi? Czemuż mam cię martwić, czemu dawać sposobność żalowania mnie i łajania? Zdaje się, że takie jest już moje przeznaczenie.

Był smutny, cichy, onieśmielony i na pytania odpowiadał zrazu jakoś niechętnie. Ale potem, jakby mnie i siebie na nowo rozpoznał, wyznał mi swe przewinienie i zwierzył się z nieszczęścia. Szkoda, drogi mój, że nie mogę ci powtórzyć dokładnie każdego jego słowa! Wyznał, a w opowiadaniu jego brzmiała radość i upojenie wspomnieniem, wyznał mi, że z biegiem czasu wzrosła namiętność jego dla gospodyni, u której służył, do tego stopnia, że nie wiedział co czyni, nie wiedział... jak się wyraził..., gdzie ma głowę. Przestał jeść, pić i spać, ścisnęło go w gardle, robił, czego należało zaniechać, zapominał zleceń, wydawało mu się, że go opętało złe, aż pewnego dnia, wiedząc, że poszła do komory pod dachem, udał się tam za nią, a raczej coś go zaciągnęło, a gdy nie chciała słuchać prośb, rzucił się na nią, chcąc posiąść siłą. Nie wiedział zgoła, co czyni i przysięgał na wszystko, że miał najpoważniejsze zamiary. Nie pragnął niczego bardziej, jak ożenić się z nią i spędzić całe życie przy jej boku. Mówił długo, potem zaczął się jąkać, jakby miał jeszcze coś nadmienić, nie śmiejąc jeno zacząć. Na koniec wyznał nieśmiało, że przypuszczała go do różnych poufałości i zezwalała na daleko posunięte pieszczoty. Mówił z przerwami, niezręcznie i wplatał gorące zaręczenia, że nie zamierza jej obmawiać, że ją kocha i ceni, jak zawsze, i że mówi to jeno dlatego, bym się przekonał, że miał podstawę do nadziei i nie jest człowiekiem zuchwałym i bezrozumnym. Tutaj, drogi mój, zacząć muszę ponownie dawną piosnkę moją, której nucić, zda się, nie przestanę nigdy. O, gdybym ci mógł dać wyobrażenie o tym, stojącym przede mną biedaku, którego mam dotąd przed oczyma! Szkoda, że nie mogę ci dać wyobrażenia, jak bardzo zajmuje mnie los jego, jak interesować mnie... musi! Ale dość tego! Znasz moją dolę i mnie znasz dobrze, przeto wiesz, co mnie pociąga do nieszczęśliwych w ogóle, a do tego, w szczególności.

Odczytując ten list spostrzegam, że zapomniałem podać zakończenia historii, którego zresztą łatwo się domyśleć. Obroniła się przed nim, a w dodatku nadszedł jej brat, który go z dawna nienawidził i chciał wydalić z domu, gdyż bał się, by przez powtórne małżeństwo siostry, dzieci jego nie utraciły dziedzictwa. Dopóki była bezdzietna, majątek jej mógł się dostać w spadku bratańcom. Brat wygnał go z domu i nadał sprawie taki rozgłos, że wdowa, choćby nawet była chciała, nie mogła z powrotem przyjąć go do służby. Wzięła sobie innego parobka, jak powiadają, poróżniła się o niego z bratem i podobno ma zań wyjść za mąż, ale..., zaręczał... nie dożyje sam dnia wesela, co sobie już postanowił stanowczo.

Nie ma śladu przesady w tym, co ci piszę, niczego nie upiększyłem, mogę nawet powiedzieć, że wypadło to nawet blado, nikle i dużo pospoliej, jak było w rzeczywistości, bowiem użyłem naszych, oklepanych, moralizatorskich słów.

Miłość ta, wierność i namiętność, nie są to utwory fantazji. Żyje i utrzymuje się w niezrównanej czystości pośród ludzi, których zwiemy nieukształconymi i dzikimi. A czymże jesteśmy my... oświeceni... my... przemądrzy? Odczytaj w skupieniu tę historię, proszę cię bardzo! Dzisiaj, pisząc do ciebie, jestem spokojny i cichy. Możesz to poznać po porządnym charakterze pisma i braku kleksów. Czytaj i wiedz, że są to jednocześnie dzieje twego przyjaciela. Podobnie stało się ze mną, tak się ze mną stanie, a nie jestem ani w połowie tak dzielny i tak zdecydowany, jak ów nieborak, z którym porównywać się nawet nie śmiem.

5 września

Napisała karteczkę do męża swego, przebywającego w okolicy z powodu interesów. Zaczynała się: Drogi, jedyny, wracaj jak możesz najprędzej! Czekam z utęsknieniem! — Pewien znajomy wstąpił właśnie i zawiadomił, że mąż z różnych powodów musi się jeszcze przez czas jakiś zatrzymać poza domem. Kartka została na stole i wpadła mi wieczorem w rękę. Przeczytałem i uśmiechnąłem się. Spytała o powód. — Jakimże niebiańskim darem jest posiadanie wyobraźni! — zawołałem. — Przez moment mogłem się łudzić, że się to odnosi do mnie! — Przerwała rozmowę, zda się, niezadowolona, przeto zamilkłem.

6 września

Dużo mnie kosztowało, zanim się zdecydowałem rozstać z moim błękitnym, skromnym frakiem, w którym po raz pierwszy tańczyłem z Lotą. Ale zniszczył się już bardzo. Kazałem sobie zrobić zupełnie podobny, z kołnierzem i wyłogami i takąż żółtą kamizelkę i spodnie.

Co prawda, nie jest to już to samo, co przedtem..., nie wiem sam dlaczego. Sądzę jednak, że nawyknę doń z biegiem czasu.

12 września

Wyjechała na kilka dni po Alberta. Dzisiaj wszedłem do jej pokoju, podeszła ku mnie, a ja ucałowałem jej rękę z upojeniem.

Z lustra zerwał się kanarek i usiadł jej na ramieniu. — To nowy przyjaciel! — powiedziała, wabiąc go, by usiadł na dłoni. — Moje dzieciaki będą miały uciechę.

Prawda, że śliczny? Popatrz pan! Kiedy mu damę chleba, trzepota skrzydełkami. Całuje mnie też... o, patrz pan!

Gdy zbliżyła ptaka do ust, wetknął dzióbek w jej wargi, jak gdyby odczuwał rozkosz, której stał się uczestnikiem.

— Pocałuje teraz pana! — powiedziała, podając mi go. Dzióbek zbliżył się do moich warg, a dotknięcie jego dało mi coś w rodzaju słodkiej ułudy, cienia rozkoszy miłosnej.

— Pocałunek jego — powiedziałem — nie jest całkiem bezinteresowny. Szuka pożywienia i czuje się niezadowolony samą pieśczętą.

— Je mi także z ust! — powiedziała. Podawała mu w ustach okruszynę, uśmiechając się z niewinną, współczującą lubością.

Obróciłem się. Nie powinna była czynić tego. Nie powinna była budzić mej wyobraźni, drażnić jej takimi obrazami, przywoływać do życia serca ukołysanego monotonią życia, nie powinna była wabić tymi niewinnymi, upojonymi gestami. A dlaczegoż to nie? Ufa mi bezgranicznie, wie, jak ją kocham!

15 września

Można oszaleć, Wilhelmie, uświadomiwszy sobie, że są ludzie, pozbawieni zupełnie poczucia tych niewielu rzeczy na ziemi, które mają jeszcze jakąś wartość. Mówiłem ci o wielkich drzewach orzechowych na probostwie w St..., pod którymi czasu odwiedzin u czcigodnego proboszcza siadywałem z Lotą. Drzewa te, osłaniające rozkosznym cieniem całe podwórze, dla mnie tak drogie, budziły wspomnienia owego zacnego pastora, który je zasadził przed wielu, wielu laty. Nauczyciel wymieniał jego nazwisko, zasłyszane z ust dziadka. Miał to być człowiek wielkiej wartości i wspominaliśmy go często ze czcią, siedząc pod drzewami. Powiadam ci, nauczyciel miał łzy w oczach, dowiedziawszy się od nas wczoraj, że je ścięto. Tak jest... ścięto je! Mało nie oszalałem, byłbym rozszarpał nikczemnika, który wymierzył pierwszy cios. I oto ja, który na śmierć zesmutniałbym, gdyby takie drzewo w mym ogrodzie uszło ze starości, muszę patrzeć

na to morderstwo! Jeszcze na jedno zwróć uwagę, mój drogi, na poczucie przywiązania, tkwiące w ludziach. Cała wieś oburzona jest, a nowa pani pastorowa pozna niebawem po ilości jaj i masła, oraz innych przejawach sympatii, jaką ranę zadała całej gminie. Żona nowego proboszcza (stary zmarł) jest to chuderlawa, chorowita osoba. Nie ma ona serca dla świata, bo świat się nią wcale nie interesuje. Jest ograniczona, a sądzi, iż jest uczoną, zabawia się studiowaniem kanonów, zajmuje się bardzo gorąco modnym dzisiaj, moralno–krytycznym reformowaniem chrześcijaństwa i wzrusza wzgardliwie ramionami nad mrzonkami Lavatera. Zdrowie jej jest silnie podkopane i dlatego cały świat nie ma dla niej jednej chwili radosnej. Tylko tego rodzaju kreatura mogła się ośmielić kazać ściąć moje drzewa. Nie mogę się, jak widzisz, uspokoić. Wyobraź sobie, twierdzi, że opadające liście zanieczyszczały jej podwórze i przygnębiały ją, drzewa pozbawiały ją światła, a kiedy orzechy dojrzewały i dzieci rzucały na nie kamieniami, to ją denerwowało i przeszkadzało jej w głębokich dociekaniach porównawczych nad dziełami Kennikota, Semlera i Michaelisa. Zauważywszy, że ludzie we wsi, zwłaszcza starsi, są niezadowoleni, spytałem: — Czemuż dopuściliście do tego? — Cóż poradzić można przeciw woli wójta? — Jedno się tylko dobrze stało. Pastor, ulegając kaprysowi żony, która go zresztą nie bardzo tuczy, chciał coś i tego uzyskać i obaj z wójtem postanowili podzielić się drzewem. Tymczasem dowiedziano się o całym zajściu w miasteczku i władza skarbową, mającą dawne pretensje do tej części gruntu plebańskiego, na którym rosły drzewa, zajęła je i sprzedała na licytacji. Mają się tedy z pyszna! O... gdybym był księciem, wówczas pastorowa, wójt i władza skarbową... Ach, prawda!... Gdybym był księciem, cóż by mnie obchodziły wówczas drzewa, rosnące w moim kraju?

10 października

Dobrze mi jest, gdy spoglądam w jej czarne oczy. Wiesz, co mnie smuci? To, że Albert, najwidoczniej, nie jest tak szczęśliwy, jak... się spodziewałem..., jakbym ja... to jest, jak ja bym się spodziewał, gdyby... Nie lubię domyślników, ale tym razem nie umiem się inaczej wypowiedzieć. Zdaje się, rozumiesz mnie.

12 października

Osjan wyrugował z mego serca Homera. Jakiż niewysłowiony jest ten świat, w który wprowadza nas niezrównany poeta. Stąpamy przez wrzosowiska pośród szalejącej wichury, niosącej w kłębach mgieł duchy praojców poprzez zalane księżycowym światłem rozłogi. Od gór dolata poszum wartkiego potoku, a w rozgwarze tym słysząc jęk duchów, ukrytych w grotach skalnych i skargi oszalałej z bólu dziewczyny, oplakującej tragiczną śmierć swego kochanka u grobu, zbudowanego z czterech porośniętych mchem i trawą głazów. Idę śladem błędnego, starego barda, który szuka po szerokim stepie śladu stóp ojców swoich, a znajduje jeno grobowe kamienie. Widzę, jak z jękiem spogląda ku ukochanej gwiazdzie wieczornej, zapadającej w odmęty morza. Wówczas zmartwychpowstają w duszy bohatera prastare czasy, kiedy przyświecała nadzieja mężnym wojownikom, a księżyc oblewał światłem uwieńczony kwiatami, wracający po zwycięskich zapasach, okręt. Bolesną troskę czytam na jego czole i widzę, jak wódz ostatni, opuszczony i zmęczony strasznie, chwiejnym krokiem zmierza do grobu. Otaczają go chmurą cienie zmarłych, dusza jego rozplómiła się bolesnym żarem minionych radości, spogląda po zmartwiałej ziemi, po wysokiej, falującej z wiatrem trawie i woła: — ”Zjawi się wędrowiec, który mnie znał w czasach mej krasy i spyta: Gdzież jest pieśniarz, Fingala syn dostojny?. Kroczył będzie przez mój grób i rozpytywał będzie o mnie po ziemi na próżno!...” — Gdy o tym myślę, przyjacielu mój, rad bym wyrwać miecz z pochwy któremuś z rycerzy i uwolnić od razu księcia mego z niewysłowionej męki zamierania, a potem w ślad wolnego już herosa posłać duszę własną.

19 października

O, jakże straszna jest pustka, którą czuję w piersiach! Myślę często: — Gdybyś mógł ją bodaj raz jeden przycisnąć do serca, wypełniłaby się ta pustka niezawodnie.

26 października

Przekonywam się, drogi mój, coraz to lepiej i lepiej, że nader niewiele zależy na istnieniu człowieka. Do Loty przyszła przyjaciółka, ja zaś wyszedłem do drugiego pokoju i wziąłem do ręki książkę. Ale nie mogłem czytać, przeto zacząłem pisać.

Słyszałem, jak rozmawiają z cicha o rzeczach błahych i nowinach miejskich, o ślubie tej a tej, o chorobie tego a tego. — Cierpi pono na kaszel, widać jej kości na policzkach i zapada w omdlenie, nie dałabym grosza za jej życie. — Tak mówiła przybyła. — N. N. — odrzekła Lota — także ma się źle. — Spuchł na całym ciele! — dodała przyjaciółka. W wyobraźni ujrzałem się ułoża tej biedaczki i dostrzegłem, z jaką niechęcią żegna się z życiem... jak... Tymczasem one rozmawiały o bliskiej śmierci z taką obojętnością, jak się to zawsze czyni, gdy ktoś obcy umiera.

Rozglądam się wokoło po pokoju, widzę suknie Loty, papiery Alberta, meble tak dobrze mi znane, nawet kałamarz, ogarniam to wszystko spojrzeniem i myślę: — Czymże jesteś dla nich? Na ogół przyjaciele lubią cię i cenią, raduje ich czasem twoja obecność i serce twoje ludzi się, że bez ciebie obejść by się nie mogli. Gdybyś jednak oddalił się, gdybyś ich opuścił, czyżby odczuli brak i czyby go czuli długo? Czy strata ta zaważyłaby na ich losie? Tak znikomym jest człowiek, że nawet tu, gdzie posiada zupełną pewność swego istnienia, nawet tu, gdzie obecność jego oddziaływa niezaprzeczalnie na drugich, nawet w pamięci, w duszy swych bliskich, nawet tutaj, trwać może jeno bardzo, bardzo krótko i bardzo, bardzo rychło musi się zamglić i rozpaść w nicości.

## 27 października

Myśl, że tak niewiele znaczymy dla siebie wzajem, napęlnia mnie taką rozpaczą, że rad bym poszarpać sobie piersi i roztrzaskać głowę. Jeśli nie wniosę gdzieś sam miłości, radości, przywiązania, czy rozkoszy, to nie da mi ich nikt inny, a także mimo serca wezbranego szczęściem nie stanę się niczym dla tego, kto jest dla mnie obojętny i oziębły.

### Wieczorem

Posiadam tyle, a wszystko pochłania uczucie dla niej. Posiadam tyle, a bez niej wszystko mi jest niczym.

## 30 października

Ileż razy już chciałem jej się rzucić na szyję? Bóg jeden wie chyba, co czuje człowiek, spoglądający ciągle na istotę tak pełną ponęt, a nie będący w możności zdobyć jej.

Zdobywanie, jest to przecież rzecz właściwa człowiekowi. Czyż z samego instynktu nie wyciągają dzieci ręk do wszystkiego, co ujrzą przed sobą? A ja...

3 listopada

Bóg świadkiem, że kładę się często z pragnieniem, a nawet czasem z nadzieją niezbudzenia się wcale. A rano otwieram oczy, spostrzegam słońce i czuję się nieszczęśliwym. Szkoda, że nie jestem kapryśnym, że nie mogę złożyć winy na pogodę, na kogoś innego, czy na nieudane przedsięwzięcie. Wówczas owo straszne brzemię zniechęcenia gniotłoby mnie jeno przez połowę. Tymczasem... czuję wyraźnie, że winien jestem tylko ja sam... Nawet nie jest to wina, ale we mnie bierze początek cała obecna niedola, jak ongiś ja sam byłem źródłem własnego szczęścia. Wszakże jestem tym samym człowiekiem, którego rozpierał niedawno nadmiar uczuć, który kroczył poprzez raj, który pragnął zawrzeć świat cały w rozmiłowanym sercu swoim! Ale serce to obecnie zamarło, nie tryska zeń strumień zachwyty, oczy me wyschły, a myśli nie odświeżane falą łez, stępiały i tkwią kędyś skryte za fałdami czoła. Cierpię, bowiem utraciłem to, co było rozkoszą mego życia, ową świętą, ożywczą siłą, która stwarzała wokół mnie światy! Przepadła!... Wyglądam oknem, widzę odległe wzgórza, okryte mgłą, która pierzcha pod promieniami rannego słońca, światłość zalewa cichą łękę, a rzeka, wijąc się pośród bezlistnych wierzb, płynie bezgłośnie. Przyroda, ongiś tak cudna, leży teraz odrętwiała, nieruchoma, niby polakierowany obrazek, a gdy patrzę na nią, z serca mego nie przenika do mózgu, ani ślad szczęścia. Stoję oto, nędzarz w obliczu Boga, podobny wyschłej studni, czy dziurawemu, pustemu wiadrze. W chwilach takich częstokroć rzucam się na ziemię i błagam Boga o łzy, jak rolnik prosi o deszcz, kiedy niebo okryły opony spizowe, a ziemia łaknie odświeżenia.

Ach! Czuję, że Bóg zsyła deszcz i pogodę nie dlatego, że o nie błagam tak żarliwie! O, czemuż szczęsnymi były czasy owe, których wspomnienie dręczy mnie tak okrutnie? Oto dlatego, że oczekiwałem z cierpliwością na przyjście ducha i z gorącą wdzięcznością i pokorą serca wchłaniam rozkosz, którą zlewał na mnie.

8 listopada

Z jakąż słodyczą wypominała mi wybryki moje! Polegają one na tym, że czasem szklanka wina kusi mnie do wypicia całej butelki. — Nie czyń pan tego! — mówiła. —

Pamiętaj o Locie! — Mam pamiętać? — odparłem. — Czyżbym mógł zapomnieć? Zresztą, czy pamiętam, czy nie, zawsze jesteś przytomna duszy mojej! Dzisiaj siedziałem w tym właśnie miejscu, gdzieś pani wówczas wysiadła z powozu... — Zaczęła mówić o czym innym, by nie dopuścić dalszego rozwodzenia się o tym. Przyjacielu, już po mnie! Ona może robić ze mną, co tylko chce!

15 listopada

Dziękuję ci, Wilhelmie, za serdeczne współczucie, za życzliwą radę i proszę cię bardzo, bądź spokojny. Muszę przecierpieć wszystko i przy całym znużeniu sił mi na to nie zbraknie. Wiesz dobrze, że szanuję religię i zdaję sobie sprawę z tego, że jest niejednemu strudzonemu podporą i niejednemu łaknącemu ochłodą. Ale czyż jest, czy musi być tym dla każdego? Spójrz na świat szeroki, a ujrzysz całe rzesze ludzi, którym religia nie była nigdy niczym i niczym nie będzie, bez względu, czy ją im głoszone, czy nie. Dlaczegoż tedy mnie ma być ostoją? Wszakże sam Syn Boży powiada, że: ci będą wokół niego, których pośle Ojciec! Jeśli mnie tedy nie pośle, jeśli, jak mi powiada serce, pozostawi mnie dla siebie, to cóż będzie? Proszę cię bardzo, nie zrozum tego opacznie, nie sądz, że w niewinnych mych słowach tkwi szyderstwo. Otwieram przed tobą całą duszę moją, choć wołałbym zamilczeć, bo niechętnie mówię o rzeczach, o których wszyscy wiemy bardzo niewiele. Człowiek musi wycierpieć tyle, ile mu przeznaczono, wypić swój kielich, to jego los! Ale, jeśli kielich zesłany Bogu z nieba był zbyt gorzki dla jego ludzkich ust, to po cóż ja mam udawać i twierdzić, że mój kielich ma smak słodki? Czemuż miałbym się wstydzić wyznać to w chwili, kiedy moja cała istota waha się pomiędzy być lub nie być, kiedy przeszłość błyskawicowo rozświecła przepaści przyszłości, gdy wszystko wali się pode mną i gdy świat ginie razem ze mną? Wszakże usta moimi woła istota ludzka, zdana na samą siebie, tracąca siebie samą, nieuchronnie zapadająca się w nicość, a z głębi onych, daremnie starając się na wierzch wydobyć, wyrzywa się rozpaczny głos: — Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił? — Czemuż bym się tedy miał wstydzić onego wołania, czemuż bym nie miał bać się onej chwili, kiedy drżał przed nią ten, który mocny jest zwinąć niebiosy, niby postaw sukna?

21 listopada

Ona nie widzi, nie czuje, że mi sposobi truciznę, od której wraz z nią zginę, a ja piję z rozkoszą z kielicha, który mi podaje na zatracenie moje. Cóż znaczyć może owo dobrotliwe spojrzenie, którym mnie ogarnia często... nie często, ale czasem..., co znaczy owa uległość, która sprawia, że przejmuję się uczuciami, jakie mnie ożywiają, co znaczy owo współczucie z cierpieniami mymi, jakie wyraźnie czytam w jej twarzy?

Wczoraj podała mi na pożegnanie rękę i powiedziała: — Do widzenia, drogi Werterze! — Drogi Werterze? — Pierwszy to raz nazwała mnie droгим, toteż przeniknęło mnie na wskroś dziwne drżenie. Powtórzyłem to sobie ze sto razy, a wczoraj wieczorem, kładąc się do łóżka i gadając jak zawsze ze sobą samym, powiedziałem nagle — Dobranoc, drogi Werterze! — Roześmiałem się, posłyszawszy to pozdrowienie.

22 listopada

Nie mogę się modlić: — Daj mi ją! — A jednak często zdaje mi się, że jest moją. Nie mogę się modlić: — Daj mi ją, — gdyż jest własnością innego. Pokpiwam sobie z własnego bólu, i gdybym sobie popuścił cugli wygłosić bym mógł całą litanię antytez.

24 listopada

Ona odczuwa me cierpienia. Dzisiaj przeniknęło mi serce jej spojrzenie. Byliśmy sami, ja milczałem, a ona patrzyła na mnie. Nie dostrzegałem teraz jej ponętniej piękności, znikł mi sprzed oczu urok jej wzniosłego ducha. Odczułem o wiele czulsze spojrzenie, malowało się w nim głębokie współczucie i słodka litość. Dlaczegoż nie wolno mi było rzucić jej się do stóp? Dlaczegoż nie śmiałem objąć jej szyi i podziękować pocałunkami? Chcąc ująć przed tym nastrojem, siadła do fortepianu i zaczęła nucić cichym, ledwo dosłyszalnym głosem, towarzysząc sobie harmonijnymi akordami. Nigdy piękniejsze nie były jej usta, otwierały się z takim pragnieniem, wchłaniając słodycz tonów, płynących z instrumentu i odpowiadając im echem pieśni. Ach, jakże ci to opisać zdołam? Nie mogłem się dłużej opierać, pochyliłem się i przysiągłem: — Nigdy nie ośmielę się złożyć na was pocałunku, o wargi, ponad którymi unoszą się niebiańskie

zjawy! — A jednak... Ha! Widzisz, ta rozkosz staje ścianą nieprzebytą tuż przed moją duszą... Rad bym jej doznać, a potem zginać, odpokutowując grzech... Zaliż to grzech?

26 listopada

Czasem powiadam sobie: Los twój jest wyjątkowy, wielbij szczęście innych ludzi... takich mąk, jak twoja, nie zaznał nikt jeszcze! Biorę się do czytania poety czasów dawnych i wydaje mi się, że widzę własne serce. Ileż mi trzeba będzie wycierpieć jeszcze? Ach, więc ludzie żyjący przede mną przechodzili także podobne tortury?

30 listopada

Nie chcę, nie chcę się opamiętać! Gdziekolwiek stąpię, ściga mnie zjawy, wyprowadzająca mnie z równowagi! Dziś... ach, czymże jest los człowieka!

W południe udałem się nad wodę. Nie miałem ochoty na obiad. Wokoło mnie była pustka, zimny, wilgotny wiatr dał od strony gór, a gęsta mgła zalała dolinę. Z dala ujrzałem człowieka w zielonym, zniszczonym kaftanie, wałęsającego się pomiędzy skałami, jak gdyby szukał ziół. Na odgłos mych kroków obrócił się i spostrzegłem, że twarz jego jest interesująca. Główną cechą jej wyrazu był głęboki, cichy smutek, poza tym wyglądała rozsądnie i miała nawet w sobie coś pociągającego. Czarne włosy, upięte były szpilkami w dwa wałki po bokach głowy, a reszta spleciona w długi warkocz, spadała na plecy. Z odzieży wyglądał na człowieka pospolitego, osądziłem też, że nie pogniewa się, jeśli go zaczepię i spytałem, czego szuka? — Szukam kwiatów! — odparł z głębokim westchnieniem. — Ale nie mogę znaleźć! — Nie pora teraz na kwiaty! — zauważyłem z uśmiechem. — Tyle jest wszędzie kwiatów! — powiedział, zbliżając się do mnie. — W ogrodzie moim są róże i nagietki i to w dwu odmianach. Jedne dostałem od ojca, pełno ich wszędzie, jak chwastów. Ale od dwu już dni szukam i znaleźć ich nie mogę! Wiem, że w domu zawsze są kwiaty, żółte, niebieskie i czerwone, a kwiat centurii jest też bardzo powabny... tylko nie mogę jakoś znaleźć żadnego! — Zauważyłem, że nie ma zdrowego rozumu, przeto spytałem wymijająco, na co mu te kwiaty potrzebne. Na twarzy jego zjawił się dziwny, bolesny uśmiech. — Jeśli mnie pan nie zdradzi, — rzekł, kładąc palec na ustach — to powiem. Obiecałem bukiet mojej dziewczynie! — Bardzo to pięknie! — odparłem. — Ona ma mnóstwo innych rzeczy, — powiedział — jest bardzo bogata! — A jednak zadowolona jest z pańskiego bukietu! — odrzekłem. — Ona —

ciągnął dalej — posiada mnóstwo klejnotów i koronę! — Jakże się zowie? — spytałem. — Gdyby mi Stany Generalne wypłaciły mą należytość, — odrzekł — stałbym się innym człowiekiem! O, jakżem był szczęśliwy dawniej! Ale teraz przyszedł na mnie kres! Teraz jestem... — Nie dokończył i spojrzał zażawionym okiem w niebo. — Byłeś pan tedy szczęśliwym? — spytałem. — O, tak, — odparł — pragnę, by ten czas powrócił! Wówczas czułem się wesołym, lekkim, jak rybka w wodzie! — Henryku! — zawołała stara kobieta, idąca drogą. — Gdzie żeś się podział? Szukaliśmy cię wszędzie! Chodź na obiad! — Czy to wasz syn? — spytałem, zbliżając się do niej. — Tak, to mój nieszczęśliwy syn! — odrzekła. — Bóg włożył ciężki krzyż na moje barki. — Kiedyż mu się to przydarzyło? — ciągnął dalej. — Od dosyć dawna, — odparła — teraz dzięki Bogu jest spokojny, ale przez cały rok szalał i musiano go okutego trzymać w szpitalu. Teraz jest nieszkodliwy, tylko ciągle przestaje z królami i cesarzami. Był dobrym, cichym chłopcem, pracował i pomagał mi, miał bardzo ładny charakter pisma, aż nagle popadł w zadumę, dostał gorączki, potem ataku szału i w końcu stał się takim, jakiego pan ma przed sobą. O, gdybym panu wszystko opowiedziała... Powstrzymałem potok jej wymowy pytaniem, co to był za czas, o którym wspomina, jako o szczęśliwym i wesołym okresie swego życia. — Biedny chłopak, — odparła z uśmiechem politowania, — wysławia zawsze czas, kiedy nie wiedział, co się z nim dzieje, czas swego pobytu w szpitalu obłąkanych! — Słowa te padły na mnie, jak grom, wetknąłem kobiecie pieniądza w rękę i odszedłem pośpiesznie.

— Byłeś wówczas szczęśliwy! — zawołałem, idąc ku miastu. — Było ci dobrze, jak rybce w wodzie! Boże wielki! Więc takim jest los człowieka, że czuje się szczęśliwym, póki nie dojdzie do rozumu, a potem musi go stracić, by na nowo pozyskać szczęście! Biedaku, jakże zazdroszczę ci twego obłądzenia i nieświadomości, w której żyjesz. Pełen nadziei idziesz zrywać w zimie kwiaty dla swej królowej, żałujesz, że ich nie ma, a nie wiesz, dlaczego się tak dzieje. A ja... ja wychodzę z domu bez wszelkiej nadziei, bez celu i wracam z tym samym na powrót! Marzysz o tym, czym zostałbyś, gdyby ci Stany Generalne wypłaciły należytość. Szczęśliwy jesteś, bowiem o niedolę swą obwiniać możesz przeciwności ziemskie, które istnieją poza tobą. Nie wiesz, nie czujesz, że przyczyna złego mieści się w twym obłąkanym sercu i spaczonym umyśle, których to przyczyn usunąć nie jest w stanie żaden z królów tego świata.

Biada temu, kto drwi z chorego, poszukującego istotnego źródła zła, kto uświadamia go i przez to zwiększa jego chorobę i życie czyni mu boleśniejším jeszcze; kto urąga biednemu sercu jego, dążącemu pielgrzymką do Świętego Grobu, by uciszyć wyrzuty

sumienia swego i uleczyć cierpienia swoje. Każda rana jego stóp, deptających ścieżki najeżone cierniami jest balsamem dla znękaney duszy, po każdym dniu mozolnej wędrówki kładzie się na spoczynek serce jego bardziej swobodnie, czując ulgę w męce. Czyż śmiecie to nazywać urojeniem, wy przekupnie pustych słów, wylęgający się pod pierzynami? Urojenie? O Boże! Łzy mi się cisną do oczu! Stworzyłeś człowieka tak biednym i opuszczonym, po cóż mu tedy przydałeś jeszcze bliźnich, którzy okradają go z tego ubóstwa, z tej odrobiny zaufania, jakie żywi ku tobie, o Boże miłości! Czymże jest bowiem wiara w moc leczniczą jakiegoś korzonka, jakichś tam łez winorośli, jeśli nie zaufaniem, że tchnąłeś we wszystko, coś stworzył wokół, siłę leczniczą i ukojną, których nam tak bardzo i tak ciągle potrzeba? Ojcie nieznany! Ojcie, któryś mieszkał zawsze w duszy mojej, a teraz jeno odwróciłeś ode mnie oblicze... zawołaj mnie, każ mi przyjść do siebie! Nie milcz dłużej, milczenia bowiem twojego nie usłyszy dusza moja i nie wstrzyma się. Czyżby człowiek – ojciec mógł trwać dalej w gniewie, gdyby mu rzucił się na szyję niespodzianie przybyły syn i zawołał: — Wróciłem ojcie mój! Nie gniewaj się, że przerwałem wędrówkę, w której dłużej wytrwać miałem wedle woli twojej. Świat jest cały jednaki, wszędzie jest praca, trud i nagroda, zapłata i radość, ale cóż mi z tego? Dobrze mi tam, gdzie ty jesteś i w obliczności twojej chcę cierpieć i radować się... Czyż ty, drogi ojcie niebieski, mógłbyś odprawić z niczym syna swego?

1 grudnia

Wilhelmie! Człowiek, o którym ci pisałem, ów szczęśliwy biedak, był pisarzem u ojca Loty, zapalał ku niej namiętnością, ukrywał to, potem wyznał, został wydany ze służby i oszalał. Zrozumiesz pewnie, jakich uczuć doznawałem, kiedy mi Albert historię tę opowiadał z takim spokojem, z jakim ty zapewne odczytasz te moje słowa.

4 grudnia

Posłuchaj... Ze mną już, widzisz, koniec, nie zniosę tego dłużej! Dzisiaj siedziałem przy niej..., a ona grała na fortepianie różne melodie z nieopisanym wyrazem... Siostra jej ubierała na mych kolanach lalkę. Oczy me napelnione były łzami. Pochyliłem się, zobaczyłem jej obrączkę ślubną..., łzy puściły mi się strumieniem. A ona zaczęła nagle ową niebiańską, znaną melodię, tak to uczyniła niespodziewanie, że dreszcz mi przeniknął duszę i zjawiły się wspomnienia minionych czasów, kiedy pieśń ową

słyszałem. Przeżywałem okresy walk i cierpień, pomarłych nadziei, a potem... Zacząłem chodzić po pokoju, a serce biło mi młotem. Nagle rzuciłem się ku niej, wołając: — Na miłość boską, przestań pani! — Przerwała i patrzyła w osłupieniu. — Werterze, — powiedziała z uśmiechem, który mi przeniknął duszę — Werterze, pan jesteś ciężko chory! Masz wstręt do ulubionych swych potraw! Idź pan! Proszę, uspokój się... — Wybiegłem i... Boże, ty widzisz niedolę moją i zakończysz ją!

6 grudnia

O, jakże mnie prześladowuje jej postać! Czuję ją w duszy mej we śnie i na jawie! Gdy zamknę powieki, czuję pod czołem, tu, gdzie ogniskuje się wzrok wewnętrzny, widzę jej czarne oczy. Tutaj jest coś, czego ci powiedzieć nie umiem. Gdy tylko zamknę oczy, widzę je, wydają mi się jak morze, czy przepaść i nie znikają... czuję je pod czaszką.

Podobno półbogiem jest człowiek? I cóż stąd, gdy sił mu nie staje w chwili, kiedy potrzebuje ich najbardziej. Cóż mu stąd, jeśli zarówno wśród wzlotu najwyższej radości, jak i wśród pogńębienia najsroźszego bólu, musi powracać do onej człowieczej normy, do poziomu onej jałowej, tępej i zimnej świadomości i nie może, chociaż pragnie i tęskni, zatonać w toniach nieskończoności!

## WYDAWCA DO CZYTELNIKA

Szkoda prawdziwa, że nie pozostało nam z ostatnich, przedziwnych przeżyć przyjaciela naszego tyle materiału rękopiśmiennego, byśmy nie byli zmuszeni przerywać opowiadaniem toku jego własnych listów.

Stało się jednak inaczej, przeto postarałem się zebrać dokładne wiadomości z ust ludzi dobrze poinformowanych. Są one bardzo proste i, z wyjątkiem drobnych szczegółów, zgadzają się ze sobą w zupełności. Różnice dotyczą jeno zapatrywań osób głównych i sądy o nich są rozbieżne.

Jest tedy zadaniem naszym opowiedzieć wiernie to, czegośmy się dowiedzieć zdołali, oraz dołączyć pozostałe listy zmarłego, nie pomijając lekceważeniem najmniejszego nawet świstka, z uwagi na to, jak trudną jest rzeczą odkryć powód czynu najdrobniejszego nawet, gdy idzie o osobistość nieprzeciętną.

Zniechęcenie i smutek ogarniały coraz bardziej duszę Wertera, splątały się z sobą i oswładnęły wkrótce całą jego istotą. Równowaga jego ducha została zniweczona,

wewnętrzna gorączka i gwałtowność zmieniły najzupełniej jego charakter, wywołały nieznane dotąd objawy i doprowadziły go w końcu do stanu wyczerpania, z którego porywał się jeszcze czasem do walki ze złem z energią większą, niż dotąd, ale zaraz opadał. Udręka serca podkopała siły jego ducha, znikło ożywienie, znikła bystrość umysłu, stał się ponurym w towarzystwie, coraz bardziej zapadając w rozpacz i w miarę tego stając się coraz to niesprawiedliwszym. Tego przynajmniej byli zdania przyjaciele Alberta. Twierdzą, że Werter nie był w stanie należycie ocenić tego czystego, spokojnego człowieka, który posiadał z dawna upragnione szczęście i zachowywał się w ten sposób, by go w przyszłości nie utracić. Nie mógł ocenić tego Werter, który, że tak rzec można, dnia każdego wyrzucał wszystko co posiadał, a wieczorem cierpiał niedostatek. Albert, mówili oni, nie mógł się w tak krótkim czasie zmienić, był on zawsze takim samym, jakim go Werter poznał i uznał za godnego czci i szacunku. Kochał Lotę nad wszystko, był z niej dumny i pragnął, by ją każdy uznawał za najdostojniejszą kobietę pod słońcem. Nie można mu przeto brać za złe, iż starał się odwrócić nawet cień podejrzenia, że godzi się na jakikolwiek, choćby najniewinniejszy podział swego szczęścia z kimś drugim. Przyznawali, że Albert często wychodził z pokoju swej żony, gdy Werter znajdował się w jej towarzystwie, ale nie czynił tego z nienawiści, czy nawet niechęci dla swego przyjaciela, ale dlatego, że czuł, iż obecność jego ciąży Werterowi.

Ojciec Loty zasłabł i nie mógł wychodzić z domu. Posłał tedy córcę bryczkę, a ona wyjechała. Był to piękny dzień zimowy, spadł obfity śnieg i okrył wszystko wokół bielą.

Werter udał się na drugi dzień do leśniczówki, by odwiedzić Lotę, gdyby Albert nie mógł tego uczynić. Piękna pogoda nie zdołała oddziaływać na jego usposobienie, duszę mu uciskało straszliwe brzemię, przed oczyma snuły się ponure obrazy, a myśl przechodziła od jednych smutnych rozważań do innych.

Ponieważ żył w ciągłej rozterce ze sobą, przeto usposobienie drugich wydało mu się również podejrzone i zmaczone. Był przekonany, że nadwerżył stosunek Alberta do żony, polegający dotąd na zupełnym zaufaniu, robił sobie wyrzuty i odczuwał w głębi duszy niechęć dla Alberta.

Wśród drogi rozmyślał nad tym ciągle. — Tak, tak — mówił do siebie, zgrzytając zębami. — To się nazywa współzycie serdeczne, miłe, przyjacielskie, spokojne i na wierności oparte? Nie, jest to raczej nasycenie i obojętność! Wszakże byle jaki interes ma dlań dużo więcej uroku, niż ta czarowna, niezrównana kobieta! Czyż on umie ocenić swe szczęście? Czyż szanuje ją, jak na to zasługuje? Posiada ją... no i cóż z tego! Wiem

o tym, jak wiem o wielu innych rzeczach i zdawało mi się, że nawyknę do tej myśli. Ale nie..., ona mnie doprowadzi do szaleństwa, do grobu wpędzi... A czyż przyjaźń jego dla mnie wytrzymała próbę? Wszakże w przywiązaniu mym do Loty dostrzega zamach na swe prawa, w mej serdeczności dla niej dopatruje się wyrzutu! Wiem o tym i czuję to, że nie może mnie znieść i pragnie, bym się oddalił! Obecność moja jest mu ciężarem.

Co chwila przystawał, potem ruszał naprzód i znowu zdawało się, że chce zawrócić. Ale kroczył dalej i rozmawiając ze sobą i rozmyślając, znalazł się wreszcie przed leśniczówką.

Otworzył drzwi i spytał o komisarza i Lotę, ale zastał wielkie poruszenie w całym domu. Najstarszy chłopak powiedział mu, że w Wahlheimie zdarzył się tragiczny wypadek, że jeden z chłopów miejscowych został zamordowany. Nie wywarło to na nim wielkiego wrażenia. Wszedł do pokoju i zastał Lotę w żywym sporze z ojcem, który mimo choroby upierał się jechać, by zbadać sprawę na miejscu. Sprawcy dotąd nie odkryto, znaleziono zabitego rankiem pod drzwiami domu i zgromadzono jeno poszlaki. Nieboszczyk był parobkiem pewnej wdowy, a przedtem służył u niej inny parobek, który opuścił służbę w sposób niezupełnie dobrowolny.

Werter, posłyszawszy to, zerwał się, jak oparzony. — Czyż to możliwe? — zawołał. — Muszę tam iść natychmiast! Nie mógłbym usiedzieć na miejscu! Pospieszył do Wahlheimu, po drodze odżyły w nim wspomnienia i nie miał zgoła wątpliwości, że czynu dopuścił się człowiek, z którym nieraz rozmawiał i którego tak polubił.

Musiał przechodzić pod lipami, chcąc dostać się do gospody, gdzie złożono ciało i przeraził się na widok znanego, uroczego zakątka. Próg, na którym bawiły się zazwyczaj dzieci, pokryty był krwią. Miłość i wierność, owe najszczytniejsze uczucia człowieka, zmieniły się w przemoc i morderstwo. Drzewa były skostniałe, bezlistne, pokrywała je okiść, a piękne żywopłoty, otaczające mur cmentarny, wyłysiały teraz, zrzędyły, a w przerwach pomiędzy jednym, a drugim krzakiem widniały pokryte śniegiem nagrobki.

W chwili, gdy się zbliżał do gospody, gdzie była zgromadzona cała wieś, rozległ się nagle krzyk. W dali ukazali się zbrojni, a wszyscy zaczęli wołać, że prowadzą mordercę. Werter spojrzał i pozbył się wszelkiej wątpliwości. Tak, to był parobek, który kochał tak bardzo wdowę. Jego to napotkał niedawno i przekonał się, że trawi go cicha zawziętość i rozpacz.

— Cóżeś uczynił nieszczęsny! — zawołał Werter, zbliżając się do więźnia. Parobek spojrzał nań, pomilczał przez chwilę, a potem odparł spokojnie: — Nikt jej nie dostanie

i ona nie wyjdzie za nikogo!... Zaprowadzono go do gospody, a Werter oddalił się szybko.

Ten straszny wypadek i owo zetknięcie się z nim wywołało w Werterze gwałtowny przewrót. Wyrwało go to ze smutku, zniechęcenia, obojętnej rezygnacji, ogarnęło go niezmiernie współczucie i poczuł przemożną chęć uratowania tego człowieka. Wczuwał się w jego nieszczęście, uważał go mimo zbrodni za niewinnego, wżył się do tego stopnia w jego położenie, że pewnym był, iż zdoła przekonać innych. Rad by był bronić go niezwłocznie, na usta wybiegały mu już słowa gorącego orędownictwa, pospieszył na leśniczówkę i nie mógł się powstrzymać, by po drodze nie wypowiedzieć półgłosem całej mowy.

Wchodząc do pokoju, zobaczył Alberta i widok ten zbił go z tropu. Ale opanował się niebawem i z wielkim ożywieniem zaczął przekonywać komisarza. Komisarz słuchał i potrząsał głową, ale, jak się należało spodziewać, wzruszyć się nie dał, mimo że Werter przytaczał z niezmiernym zapalem, prawdą i namietnością wszystko, co tylko człowiek powiedzieć może na obronę drugiego człowieka. Komisarz nie pozwolił mu nawet dokończyć wywodu, zaoponował żywo i zganił, że może ujmować się za skrytobójcą. Przedstawił, że w ten sposób nie ostałoby się żadne prawo i całe bezpieczeństwo w państwie znikłoby raz na zawsze, a w końcu dodał, że w sprawie tego rodzaju nie może podejmować niczego, bez ściągania na siebie wielkiej odpowiedzialności i, że niczym nie wolno mu naruszać przepisane go porządku postępowania.

Werter nie poddał się jeszcze, ale prosił, by komisarz zamknął oczy na ułatwienie winowajcy ucieczki! I na to w żaden sposób zgodzić się nie chciał. Albert, wmieszawszy się do rozmowy, stanął po stronie teścia, Werter został przegłosowany i zboląły ruszył do domu, usłyszawszy od komisarza po kilkakroć powtórzony smutny wyrok: — Nie, nie można go uratować!

Jak mu słowa owe utkwąć musiały w myśli, widzimy z karteczki, pozostałej wśród papierów a napisanej niezawodnie tegoż samego dnia.

— »Nieszczęsny, nie można cię uratować! Widzę dobrze, że nic nas obu uratować nie może!«

Głębokim wstrętem napełniły Wertera słowa, jakich użył Albert w rozmowie z komisarzem w sprawie więźnia. Dopatrywał się w nich ukrytego żądła przeciw sobie

skierowanego, a mimo że po namyśle przyznać musiał, iż obaj mieli zupełną słuszość, to jednak wydało mu się, że musiałby się zaprzeczyć siebie samego, gdyby miał to przyznać.

Pośród papierów została kartka, odnosząca się do tego, a określa ona najlepiej cały stosunek jego do Alberta.

»Cóż z tego, że powtarzam sobie ciągle: on jest uczciwym i dobrym człowiekiem..., gdy na jego widok mdło mi się robi i... nie mogę dlań być sprawiedliwym.«

Wieczorem mróz zelżał, a nawet zaczęło zbierać się na odwilż, przeto Lota z mężem wracała do domu pieszo. Po drodze obejrzała się kilka razy, jakby jej brakowało towarzystwa Wertera. Albert zaczął o nim mówić, ganił go, oddając mu jednak sprawiedliwość zupełną. Wspomnił też o nieszczęsnej namiętności jego i wyraził chęć, by go można w jakiś sposób oddalić. — Pragnę tego także ze względu na nas — powiedział — i proszę cię, nadaj jakiś inny kierunek jego zachowaniu się, przede wszystkim zaś spraw, by nie bywał tak często. Ludzie zwracają na to uwagę, a wiem dobrze, że zaczęto nas już tu i owdzie brać na języki... Lota milczała, a Alberta dotknęło widocznie to milczenie, gdyż od tego czasu nie mówił z nią już o Werterze, a gdy ona o nim wspomniała, przerywał rozmowę, lub nadawał jej inny kierunek.

Daremny wysiłek, na jaki się Werter zdobył w obronie nieszczęsnego mordercy, był rozbłyskiem ostatnim dogasającego światelka. Teraz ścięło się bardziej jeszcze w smutku i bezczynności. Zabolalo go zwłaszcza, gdy posłyszał, że może być wezwany na świadka przeciwko winowajcy, który jął się metody przeczenia wszystkiemu.

Przetrawiał teraz w duszy wszystkie niepowodzenia swego życia, przykrość, jaka go spotkała w salonie hrabiego i wszystkie inne zawody i smutki. Uznał się za uprawnionego do bezczynności, bowiem odcięty został od wszelkiej nadziei, od widoków i środków, jakich koniecznie potrzeba, by jąć się praktycznych spraw tego życia. Zatonął zupełnie w dziwnych swych rojeniach, fantazjach i namiętności, w bezustannej monotonii smutnego obcowania z uwielbioną istotą, której spokój mącił, wśród ciągłego zmagania się ze sobą bez celu i nadziei powodzenia, zbliżając się coraz to bardziej do ponurego końca.

O powikłaniach duchowych, namiętności, nieukozonej szarpaninie i pomysłach oraz o znużeniu życiem świadczą pozostałe listy, w sposób tak wymowny, że załączamy je tutaj na dowód.

12 grudnia

Drogi Wilhelmie! Znajduję się w stanie, w który popadać musieli niezawodnie ci nieszczęśnicy, o których powiadano, że zostali opętani przez złego ducha. Czasem owłada mną coś... co nie jest strachem, ni żądzą..., jakiś wewnętrzny szal, od którego pęka mi pierś i ściska się gardło! Okropność! Wówczas wybiegam i włóczę się po świecie, mimo strasznych zawiei nocnych tej nieprzyjaznej pory roku.

Wczoraj wieczór wyszedłem z domu. Z nagłą nastąpiła odwilż, słyszałem, że rzeka wystąpiła z brzegów, wylały strumienie i całą ulubioną dolinę moją aż po Wahlheim nawiedziła powódź. Pobieglem tam po jedenastej w nocy. Spoglądając ze skały, miałem straszne widowisko. Oświetlone księżycem rozpętane fale szalały po polach, łąkach, zagajnikach, cała dolina zmieniła się w smagane burzą jezioro, a wicher piętrzył bałwany. Kiedy księżyc wychylił się znowu zza chmur czarnych, a pode mną tętniły rozdźwięki walących się w przepaść mas wody, wówczas dreszcz mnie przejął i pochwyciła tęsknota. Z rozwartymi ramionami stałem, spoglądałem w bezdeń, odetchnąłem z ulgą i posłałem westchnienie... tam... w dół! Objęło mnie rozkoszne pożądanie, by wszystkie cierpienia i całą mękę pogrzebać tam, gdzie szaleją wzburzone fale! Ale nie mogłem oderwać nóg od ziemi, nie mogłem skończyć. Czułem, że nie wybiła jeszcze moja godzina! O drogi Wilhelmie, z jakąż radością oddałbym był życie, by jako wicher ów rozedrzeć chmury i objąć w ramiona fale! Ha... czy więźniowi dostać się ma w udziale kiedyś ta rozkosz?

Spojrzałem z bólem na to miejsce, gdzie siedziałem ongiś z Lotą pod wierzbą po przechadzce w dzień upalny. Woda zalała je i zaledwo rozeznać zdołałem wierzbę. Więc i ową łączkę Loty, pomyślałem, i całe obejście leśniczówki i naszą altankę, wszystko zniszczył rozpętany żywioł? Nagle zajaśniał promyk przeszłości i zaczęło mi się marzyć, jak więźniowi o wielkich trzodach, rozległych łąkach, godnościach i zaszczytach... Stałem!... Nie przyganiam sobie tego, gdyż mam odwagę umrzeć... to jest... miałbym... A oto siedzę niby stara baba pod płotem, zbierająca gałęzie na opał, zebrząca od drzwi do drzwi chleba, byle tylko przydłużyć sobie parę chwil życia, byle tylko jakoś przebiedować.

14 grudnia

Nie wiem, co to znaczy mój drogi, ale zaczynam się bać samego siebie! Wszakże miłość moja dla niej jest święta, czysta, braterska! Czyż odczułem kiedy w duszy jedno bodaj karygodne pragnienie? Nie przysięgnę zresztą... A teraz nachodzą mnie sny... O, jakąż słuszość mieli ludzie, przypisując te, tak zgoła odmienne przejawy siłom zewnętrznym! Tej nocy... nie śmiem ci wyjawić nawet... trzymałem ją w objęciach, tuliłem mocno do piersi i słodkie jej, szepczące słowa miłości usta okrywałem niezliczonymi pocałunkami. Oczy me wpatrzone były z upojeniem w jej oczy. Boże, jakże winnym się czuję, odczuwam bowiem jeszcze do tej pory tę rozkosz wielką, płomienną, niewysłowioną w całej pełni! Loto! Loto! Już koniec ze mną! Zmysły mi się mącą, od tygodnia nie mogę zebrać myśli, a oczy mam ciągle pełne łez. Nigdzie wytrzymać nie mogę, a wszędzie mi równie dobrze. Niczego nie pragnę, nie pożądam... Lepiej by było... dużo lepiej, bym odszedł...

Postanowienie porzucenia świata utrwaliło się w tym czasie i wśród tych okoliczności w duszy Wertera i wzmogło się na sile. Była to dlań ostatnia ucieczka i nadzieja od czasu powrotu do Loty, ale powiedział sobie, że nie trzeba się spieszyć i podejmować lekkomyślnie czynu, który winien być dokonany z całym przekonaniem i możliwie największym spokojem i pewnością siebie.

Wątpliwości jego i walki, staczane ze sobą samym przebijają wyraźnie z kartki, będącej niezawodnie zaczętym listem do Wilhelma, nie opatrzonej datą, a znalezionej również pośród papierów.

»Jej obecność, jej los i jej współczucie dla mej niedoli, wyciskają mi ostatnie łzy i zmuszają do myślenia mój biedny, trawiony gorączką mózg.

Pozostaje tylko podnieść firankę i skryć się za nią! Czegóż się jeszcze waham, czemu zwlekam? Czy dlatego, że nikt nie wie, co tam jest po drugiej stronie i dlatego, że nie ma stamtąd powrotu? A może dlatego, że jest właściwością naszego umysłu domyślać się chaosu i ciemni w miejscu, o którym nic pewnego nie wiemy?..«

Wkrótce jednak pogodził się i oswoił z tą smutną myślą, a postanowienie jego stało się silnym i niewzruszonym, o czym świadczy przytoczony poniżej pełen aluzji list.

20 grudnia

Dziękuję ci, drogi Wilhelmie, że w ten sposób zrozumiałeś moje słowa. Tak, masz słuszność: lepiej by było dla mnie oddalić się stąd. Niezupełnie podoba mi się twój projekt, bym wracał do was, w każdym zaś razie chciałbym zboczyć, zwłaszcza, że pogoda się ustaliła, mróz tęgi i drogi dobre. Bardzo się cieszę wieścią, że chcesz tu przybyć, by mnie zabrać ze sobą, ale wstrzymaj się jakieś dwa tygodnie i nie wyjeżdżaj, zanim otrzymasz ode mnie list z wiadomościami. Nie należy zrywać żadnego owocu przed dniem jego dojrzałości, a dwa tygodnie, to okres w pewnych razach długi. Proś matkę, by pomodliła się za syna i powiedz, że proszę, by mi przebaczyła te wszystkie troski, jakich jej przyczyniłem. Widać przeznaczeniem moim było zasmucać tę, której winienem był nieść radość. Bywaj zdrów, drogi mój, kochany przyjacielu! Niech Cię Bóg darzy błogosławieństwem swoim... Żegnam cię!

Trudno, zaprawdę wyrazić słowami, co się w czasie owym działo w duszy Loty i jak usposobiona była zarówno dla swego męża, jako też dla swego nieszczęśliwego przyjaciela. Możemy sobie o tym jednak wyrobić pojęcie na podstawie znajomości jej charakteru, a piękna dusza kobieca może się wczuć w jej duszę i przepoić uczuciami, jakie ją ożywiały.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że była stanowczo zdecydowana oddalić Wertera, a jeśli zwlekała, to jedynie z troskliwości o niego, wiedziała bowiem, jak mu to będzie przykrym, a nawet wprost trudnym do zniesienia. Mimo to, musiała się do tego wziąć poważnie. Czas nagił, mąż ni słowem nie wspominał o tym stosunku, ona milczała również, ale tym bardziej zależało jej na tym, by go przekonać czynem, że umie ocenić jego zaufanie i godzi się na jego poglądy.

Tego samego dnia, kiedy Werter napisał przytoczony wyżej list do przyjaciela, przyszedł do niej wieczorem i zastał ją samą. Była to ostatnia niedziela przed świętami Bożego Narodzenia, a Lota zajęta była sporządzaniem zabawek, przeznaczonych dla rodzeństwa na gwiazdkę. Zaczęli rozmawiać o radości malców, a Werter wspomniawszy, kiedy go samego w zachwyt wprawiał widok drzewka, przybranego w cukierki, jabłka i świeczki, ukazującego się z nagłą przez otwarte drzwi. — Pan także dostanie podarek, — ozwała się, pokrywając zakłopotanie miłym uśmiechem — dostanie pan stoczek i coś jeszcze, ale pod warunkiem, że pan będzie posłuszny! — Cóż to znaczy, posłuszny? — zawołał zdumiony. — W czymże mam być posłuszny, droga Loto? — We czwartek wieczór przypada Wigilia, przybędą dzieci, ojciec mój i każdy dostanie

podarek. Przyjdzie wówczas i pan także... ale aż we czwartek... nie prędej! — Werter osłupiał. — Proszę być posłusznym — ciągnęła dalej — proszę pana, idzie o mój spokój..., tak jak było dotąd... trwać dalej nie może... — Odwrócił od niej oczy, zaczął chodzić po pokoju i mruczał przez zęby: — Tak trwać dalej nie może! — Lota odczuła jego straszny nastrój, toteż usiłowała pytaniami skierować na co innego jego uwagę, ale nie udało jej się to. — Nie, Loto, nie ujrzę cię już nigdy! — zawołał. — Nigdy... nigdy! — Dlaczego? — spytała. — Werterze, możemy, powinniśmy się nawet widywać, tylko bądź pan spokojniejszym! O, czemuż jest pan tak porywczy z natury, tak niepohamowany i namiętny w każdej sprawie? Proszę pana — dodała, biorąc go za rękę — powściągnij się pan i pomyśl, ile rozlicznych uciech daje panu rozum pański, wiedza i talent! Bądź mężczyzną, nie trwaj dalej w smutnej skłonności do osoby, która może jeno boleć nad pańskim losem! — Zgrzytał zębami i spoglądał na nią ponuro. Trzymała go za rękę i mówiła dalej: — Zdobądź się na chwilę spokoju bodaj, Werterze! Czyż nie widzisz, że się ludzisz, z rozmysłem gubisz? Czemuż wybrałeś pan mnie właśnie, która do innego należy, czemu mnie, Werterze? Wydaje mi się, że tylko niemożność posiadania mnie czyni mnie w twych oczach tak pożądaną! — Wysunął rękę z jej dłoni i spojrzał na nią niechętnie. — To bardzo trafna uwaga! — zawołał. — Niezmiernie trafna! Czy może Albert jest jej autorem? To krok niezwykle polityczny! — Każdy może uczynić to spostrzeżenie, — zauważyła i dodała — ale czyż w całym świecie nie ma dziewczyny, która by zaspokoiła potrzebę serca pańskiego? Przewycięż się pan, poszukaj, a przysięgam, że znajdziesz. Z dawna lęk mnie zbiera ze względu na nas i pana, gdy pomyślę, w jakich stosunkach pędzisz życie! Przemóż się! Podróż zrobi panu dobrze, Werterze, orzeźwi pana! Poszukaj kogoś, kto godnym byłby miłości twojej, a potem wróć, byśmy mogli wspólnie zażywać uciech prawdziwej przyjaźni.

— Słowa pani, Loto — odparł z chłodnym uśmiechem — można by wydrukować i zalecić wszystkim stróżom dobrych obyczajów! Ale proszę pani, droga Loto, daj mi jeszcze małą chwilkę czasu, a stanie się wszystko, co trzeba! — Proszę pana jeno, Werterze, — powiedziała — nie przychodź przed Wigilią! — Chciał coś odpowiedzieć, ale w tejże chwili wszedł do pokoju Albert. Pozdrowili się lodowatym: dobry wieczór i zaczęli obaj chodzić po komnacie z zakłopotaniem. Werter zagadnął o czymś obojętnym, ale urwał po chwili, Albertowi nie kleiły się również słowa, spytał żony o pewne dane jej zlecenie, a dowiedziawszy się, że jeszcze nie zostało wykonane, wyrzekł kilka słów oziębłych, a nawet surowych, jak się wydało Werterowi. Werter chciał odejść i nie mógł, został do ósmej, czując, że wzbiera w nim niechęć i odraza, potem, widząc,

że nakrywają do stołu, wziął kapelusz i laskę. Albert zaprosił go na kolację, ale Werter, biorąc to za zdawkową grzeczność, odmówił chłodno i wyszedł.

Wróciwszy do domu, wziął świecę z rąk służącego, który mu chciał poświecić, udał się do swego pokoju, płakał w głos, mówił sam do siebie wzburzony przez czas długi, przechadzał się nerwowo po pokoju i rzucił się wreszcie ubrany na łóżko. Służący znalazł go tu o jedenastej ośmieliwszy się wejść i spytał, czy pozwoli zdjąć sobie buty. Zezwolił na to i zabronił mu wchodzić do siebie nazajutrz rano, zanim sam zawoła.

W poniedziałek rano, dnia 21 grudnia, napisał do Loty list znaleziony po jego śmierci na biurku i starannie zapieczętowany. Podajemy tutaj większy ustęp z owego listu, gdyż jest to ważny dokument chwili.

»Loto, ja chcę umrzeć, to rzecz postanowiona, donoszę ci o tym bez wszelkiej romantycznej przesady, spokojnie rankiem tego samego dnia, w którym ujrzę cię po raz ostatni. Kiedy to czytać będziesz, grób pokrywał będzie martwe zwłoki człowieka, który nie mógł zaznać spokoju, ni szczęścia, człowieka, który do ostatniej chwili życia nie zaznał większej rozkoszy nad rozmowę z tobą. Przeżyłem noc straszną i, zaprawdę, noc błogosławioną zarazem. Ona to, utwierdziła mnie w postanowieniu i skłoniła mnie do tego, że umrę! Gdy oderwałem się wczoraj od ciebie przemocą, zmysły me ogarnęło straszliwe wzburzenie, okropny ból ścisnął moje serce, a myśl o owym beznadziejnym, smutnym życiu przy twym boku owiała mnie grobowym zamrozem. Zaledwo na poły przytomny doszedłem do mieszkania i padłem na kolana... Bóg dobrotliwy użył mi ostatniego pokrzepienia, zesłał mi dar gorzkich łez! Pomysły, zamiary najdziwsze szalały, niby wichry w mej duszy, aż w końcu ustaliła się w niej ostatnia jedyna, niezachwiana myśl, że umierać trzeba! Położyłem się spać i oto rano, w świetle jawy myśl ta tkwi tak samo silnie, potężnie w mym sercu. Umrę! To nie jest rozpacz, to świadomość, że brzemię doniosłem do kresu i że za ciebie składam ofiarę. Tak jest Loto, nie mam potrzeby przemilczać tego! Jedno z nas trojga musi zginąć, a przeto postanowiłem, że zginę ja. Tak, droga moja, różne myśli szarpały me biedne serce i wily się w nim. Chciałem zamordować twego męża..., ciebie... wreszcie... siebie i tak się niech stanie! Gdy o pięknym, letnim wieczorze staniesz na wzgórzu, wspomnij wówczas, jak często szedłem ku tobie z doliny, potem spojrzysz ku grobowi memu, na którym wiatr kołysać będzie wysoką trawę, oblaną promieniami zachodu. Zaczynając ten list byłem spokojny, teraz jednak, gdy mnie otoczyły żywe wspomnienia, płaczę, jak dziecko.«

Około dziesiątej przywołał Werter służącego i ubierając się oświadczył mu, że za kilka dni wyjedzie, przeto powinien wytrześć ubrania i przysposobić do zapakowania. Poleciał mu także popłacić wszystkie rachunki, odebrać kilka wypożyczonych książek, a wreszcie zaopatrzyć na dwa miesiące z góry w jałmużnę biedaków, którym co tygodnia dawał drobne kwoty.

Kazał sobie przynieść do pokoju obiad, a potem pojechał konno do komisarza, jednakże nie zastał go w domu. Zamyślony chodził po ogrodzie i przepajał się smutnymi wspomnieniami przeszłości.

Dzieci obsiadły go niebawem, chciały rozruszać, zaczepiały go, skakały i opowiadały, że gdy minie jutro i jeszcze jedno jutro, a potem jeszcze jeden dzień, pójda do Loty po podarki gwiazdkowe, o których roily cuda w swej dziecięcej wyobraźni. — Jutro, — zawołał wraz z nimi — i jeszcze raz jutro, i jeszcze jeden dzień! — Ucałował wszystkie serdecznie i chciał iść, ale jeden z malców objawił chęć powiedzenia mu czegoś na ucho. Kiedy się pochylił ku niemu, chłopak zdradził mu tajemnicę, że starsi bracia napisali prześliczne i długie powinszowania noworoczne... jedno dla ojca, drugie dla Alberta i Loty, a trzecie dla pana Wertera. Mieli je wręczyć rankiem w Nowy Rok. Wzruszyło go to, rozdał pomiędzy dzieci po trochu groszy, dosiadł konia, zostawił pozdrowienie dla komisarza i odjechał ze łzami w oczach.

Około piątej wrócił do domu, kazał służącej dołożyć drzewa na kominek i podtrzymywać ogień aż do wieczora. Służącemu polecił spakować do kufra książki i bieliznę i starannie oszyć pokrowcami ubrania. Potem siadł i napisał prawdopodobnie ten ustęp listu do Loty:

»Nie spodziewasz się mnie? Sądzisz, że usłucham i przyjdę dopiero w wieczór wigilijny? Nie Loto, dziś, albo nigdy! W dniu Wigilii będziesz trzymała w rękach ten papier, będziesz drżała i oblewała go drogimi łzami twymi. Chcę i muszę! O, jakże mi dobrze, żem się zdecydował!«

W dziwny, zaiste, stan popadła Lota. Po ostatniej rozmowie z Werterem uczuła, jak trudno jej będzie znieść rozłąkę z nim i jak bardzo on będzie cierpiał z tego powodu:

Mimochodem wspomniała wobec Alberta, że Werter nie zjawi się przed wieczorem wigilijnym. Albert pojechał konno do pewnego urzędnika w sąsiedztwo, dla załatwienia jakiejś sprawy i miał u niego przenocować!

Została w domu sama, bo nikogo z rodzeństwa nie było u niej, puściła przeto wodze myślom i zatopiła się w rozmyślaniach nad bieżącymi sprawami. Myślała nad tym, że oto połączona jest na zawsze z mężem, którego miłości i wierności pewna była, którego też kochała prawdziwie. Jego spokojne usposobienie i nieposzlakowany charakter, stanowiły nieoceniony dar nieba i mogła swe szczęście na nich budować każda uczciwa i dzielna kobieta. Oceniała należycie, czym jest dla niej, jak i dla rodzeństwa. Z drugiej strony Werter stał jej się niewypowiedzianie drogim. Od pierwszej chwili znajomości z nim przejawilo się łączące ich podobieństwo duchowe, a długie obcowanie z nim i mnóstwo przeżytych wspólnie chwil wywarło na nią wpływ niezatarty i opanowało serce. Nawykła dzielić się z nim każdą ciekawszą myślą, czy wrażeniem, toteż rozłąka z nim spowodować musiała niezmiernie dotkliwie uczucie pustki, której bodaj że nic wypełnić nie mogło. O, czemuż nie mogła go w jednej chwili zmienić w brata? Jakże czułaby się szczęśliwa! Potem zapragnęła ożenić go z jedną ze swych przyjaciółek i naprawić stosunek jego do Alberta.

Zaczęła w myśli przechodzić po kolei wszystkie swe znajome, ale w każdej odkrywała jakąś wadę i nie znalazła żadnej, której by go oddać miała odwagę.

Podczas tych rozmyślań odczuła dopiero głęboko, choć niezupełnie jeszcze jasno, że całą duszą i sercem pragnie zachować go dla samej siebie, a jednocześnie powiedziała sobie, że nie może tego uczynić, gdyż nie wolno się na to powazyć. Zazwyczaj radziła sobie ze smutkiem bardzo łatwo, dziś nie mogła się otrząsnąć z przygnębienia i czuła, że siła wewnętrzna zamyka jej drogę do szczęścia. Serce jej się ścisnęło, a ciężka chmura okryła jej czoło.

Było koło siódmej, gdy nagle posłyszała kroki na schodach i poznała po chodzie i głosie Wertera, który o nią pytał. Serce zabiło jej gwałtownie i rzecz możemy, po raz pierwszy uczuła takie wzruszenie za jego przybyciem. Chętnie byłaby kazała powiedzieć, że przyjąć go nie może, a gdy wszedł, z namiętnością i pomieszaniem zawołała: — Nie dotrzymałeś pan obietnicy! — Niczego nie obiecywałem! — odrzekł. — Powinieneś pan był usłuchać przynajmniej mojej prośby! — powiedziała. — Szło przecież o wspólne nasze dobro!

Nie wiedziała dobrze co mówi, a także nie zdawała sobie sprawy ze swych czynów, gdy posłała służącą do kilku przyjaciółek z prośbą, by przyszły, aby tylko nie pozostać sam na sam z Werterem. Położył na stole przyniesione książki, spytał o inne, a Lota pragnęła, by przyjaciółki przybyły jak najprędzej, to znowu, by nie przychodziły wcale. Służąca wróciła z wiadomością, że obie przepraszają, ale przyjść nie mogą.

Chciała posadzić w sąsiednim pokoju służącą z robotą, ale zaniechała tego. Werter chodził po pokoju, ona zaś przystąpiła do fortepianu i zaczęła grać menueta. Ale nie szło jej to. Opanowała się i usiadła spokojnie przy Werterze, który zajął zwykle swoje miejsce.

— Nie ma pan nic do czytania? — spytała. Nie miał nic. — Tam, w mojej szufladzie — powiedziała — leży pański przekład kilku pieśni Osjana. Jeszcze nie czytałam, bo miałam nadzieję, że usłyszę to z ust pańskich. Ale dotąd nie przyszło do tego. — Uśmiechnął się i przyniósł rękopis, dreszcz nim wstrząsnął, gdy go brał do ręki, a gdy nań spojrzał, łzy mu napęłniły oczy. Usiadł i zaczął czytać:

— Gwiazdo wieczorna, jakże cudnie błyszczysz na Zachodzie, wynurzając promienną głowę z chmur i tocząc się z wolna ku dalekim wzgórzom! Czegóż upatrujesz na pustoci? Ucichły wichry rozpetane, a z dali dolata szmer siklawy, toczącej falę wód po ostrych zboczach skał. Owady z brzękiem unoszą się ponad polami. Za czymże patrzysz o promienista? Ale ty uśmiechasz się i idziesz, radośnie otaczają Cię fale i kąpią twe rozkoszne włosy. Bądź błogosławione światło pokoju, błyszcz promieniu duszy Osjana!

Jawi mi się moc ogromna. Widzę pomarłych druhów moich, gromadzą się na Lorze, jako to czynić nawykli za dni, które przeminęły. Nadciąga Fingal, podobny przepojonemu wodą słupowi mgły. Wokół niego bohaterzy o... Patrz, idą też bardowie pieśni: siwy Ulin, wspaniały Ryno, czarowny pieśniarz Alpin i żalosna, cicha Minona. O, jakże zmieniliście się przyjaciele od onych szczęsnych dni na Selmie spędzanych, kiedy to współzawodniczyliśmy ze sobą o berło pieśni! Jak powiew wiosenny ugina cicho szemrzące trawy wzgórza, tak zmienił was czas.

Wystąpiła naprzód precudna Minona, oczy miała spuszczone, oczy łez pełne, szarpał raz po raz jej bujny włos wiatr swawolny, polatujący od strony wzgórz. Smutek objął duchy bohaterów, gdy podniosła czarowny głos, gdyż wspomnieli widywany często grób Salgara i ponure białej Kolmy komnaty. Kolma śpiewa na pustym wzgórzu harmonijnym głosem, Salgar przybyć obiecał, ale wokół zaległa tymczasem noc. Słuchajcie, co śpiewa Kolma, siedząca samotnie na wzgórzu.

Wokoło noc! Samotna, opuszczona siedzę na wzgórzu wśród burzy. Wicher hula po szczytach, strumienie ze skał się toczą. Nie mam ochrony przed deszczem nijakiej, ja, samotna na wzgórzu, opuszczona wśród burzy.

Wynijdź, księżycu jasny, z chmur ciemnych opony, rozetlijcie się gwiazdy na niebie! Niechaj mnie promień jakiś zawiedzie tam, kędy kochanek mój spoczywa po łowach. Łuk przy nim leży z nienapiętą cięciwą, a wokół psy zadyszane! A ja tu muszę siedzieć samotna i opuszczona na skale ponad obrosłym krzewami strumieniem. Ryczy burza, szemrze woda, nie słyszę głosu kochanka.

I czemuż zwleka mój Salgar? Czyż zapomniał danego mi słowa? Wszakże to owa skała, owo drzewo i ów potok! Obiecałeś tu przybyć, gdy noc zapadnie... Ach, gdzież to zabłąkał się Salgar mój miły? Wszak z tobą iść chciałam daleko, porzucić dumnego ojca i braci... Od dawna wrogami są sobie rody nasze, ale myśmy sobie nie wrogi, Salgarze!

Ustań na chwilę wicherze, zmilknij falo na chwilę! Niech głos mój tętni po błoni, niechże posłyszysz mój wędrowiec. Salgarze! To ja wołam, Salgarze! Tutaj jest drzewo i chata. Salgarze, kochanku jedyny! Czekam, przecz zwlekasz mój luby?

Już księżyc połyska na niebie, fala się ściele w dali, a skały się czernią na wzgórzu! Nie widzę go nigdzie na szczytach, a psy nie głoszą, że idzie. Tu sama czekam daremno!

I któż są ci leżący w dole na trawie? Czy to kochanek? Czy brat? Mówcie, przyjaciele, o mówcie! Milczą, nie rzeką ni słowa! O, jakież strach wzbiera mi w duszy! Ach, oni nie słyszą... pomarli! Ich miecze czerwone od walki. O bracie, mój bracie jedyny, czemuś mi zabił Salgara? Salgarze, czemuś mi brata zarąbał? Tak was kochałam obu! Ty byłeś tak piękny na wzgórzu pośród tysięcy! A on tak straszny we walce. Odpowiadajcież mi drodzy moi, wszakże słyszycie mój głos! Ach, oni milczą, jak groby! Milczą na wieki, a łona ich zimne, jak ziemia.

Mówcież duchy pomarłych, mówcie ze skalisk pagórka, ze szczytów gór niebosiężnych! Mówcie, nie boję się słuchać. Gdzie żeście poszli na leże? W jakiejże górskiej pieczarze mam was szukać, o mówcie! Nie słyszę w wicherze ni słowa, burza nie niesie mi głosu, nie ma, ach, nie ma odzewu!

Siedzę oto pogrążona w rozpacz i czekam ranka ze łzami. Wykopcie grób, przyjaciele pomarłych, ale nie zamykajcie go, aż przybędę. Życie me znika jak sen, czemuż bym przybyć nie miała. Tutaj zamieszkam z przyjaciół moimi nad potokiem dzwoniącym o skałę. Kiedy ciemność wzgórze ogarnie, a wicher znad pustki przyłeci,

powstanie duch mój w wichurze i płakał będzie przyjaciół pogasłych. Strzelec głos mój posłyszysz w swej chacie, trwoży się go, lecz i kocha, bowiem słodki to głos mój, co biada przyjaciół obu kochanych!

Taki był twój śpiew, o Minono, cudna rumieniąca się córo Tormana. Łzy nasze płakały Kolmy, a dusze nam żalność okryła.

Ulin z harfą wystąpił i śpiewał pieśń Alpina. Alpina głos cudny był, a dusza Ryna promieniem ognistym. Ale spoczęli już w ciasnym przybytku, a głosy ich przebrzmiały na Selmie. Raz Ulin z łowów powrócił, zanim polegli rycerze. Posłyszał ich turniej śpiewaczy na wzgórzu. Pieśń była łagodna i smutna. Biadali nad zgonem Morara, pierwszego pośród rycerzy. Dusza jego była, by dusza Fingala, miecz jego niby miecz Oskarowy. Ale poległ, a ojciec biadał okropnie i łzami płynęły oczy Minony, siostry wielkiego Morara. Cofnęła się przed pieśnią Ulina, by księżyc na zachodzie, co wiedząc, iż burza nadciąga, kryje precudną głowę w chmurze. Uderzyłem w struny harfy, wraz z Ulinem, by zawieść śpiew żałosliwy.

## RYNO

Przeminął deszcz i burze, pogodna wróciła pora, a chmury wiatry zgoniły. Słońce biegnie po niebie, raz po raz oświeca wzgórze, a strumień, czerwienią oblany, toczy się ze skał w dolinę. Słodki twój poszum, strumyku, ale słodszy głos, który do mnie dolata. To głos Alpina, płaczącego zmarłych rycerzy. Głowę mu wiek starczy pochyła, czerwone oczy ronią żalose łzy. Alpinie, wyborny pieśniarzu! Dlaczegoś samotny na milczącym wzgórzu? Dlaczego biadasz, jak wichor szumiący po lesie, jak fala na dalekim wybrzeżu?

## ALPIN

Łzy moje, o Ryno, płyną umarłym, głos mój dla tych, którzy mieszkają pod ziemią. Smukły jesteś na wzgórzu, piękny pośród synów rozłogu. Ale polegniesz, jak Morar, a na grobie twoim płaczek usiedzie. Zapomną o tobie wzgórze, łuk twój daremnie leżeć będzie nienapięty.

Szybki byłeś, jak jelen, Morarze, na wzgórzu, straszliwy jak ognie nocne na niebie. Gniew twój się miotał, jak burza, miecz twój w walce był jako błyskawica ponad rozłogiem. Głos twój huczał, by strumień wezbrany po skałach, jak grzmot po

roztoczach gór w dali. Iluż padło od siły ramienia twojego? Pożarł ich płomień gniewu twego, Morarze. A kiedy wracałeś z boju, jakże spokojne było twe lico? Oblicze twe jako słońce po burzy, jako księżyc w toniach nocy, dusza twa spokojna była niby jezioro, kiedy położy się wiatr i uciszy.

Ciasnym jest teraz twoje mieszkanie, ciemność w grodzisku zalega. Trzech kroków starczy, by zmierzyć twój grób, o bohaterze, któryś tak wielkim był pierwiej. Cztery kamienie u szczytu omszałe, oto jedyna po tobie pamiątka! Drzewo bezlistne, wysoka trawa wiatrem kładziona na ziemi, oto wszystko, co strzelcowi wskazuje, gdzie grób mocarnego Morara. Nie masz matki, by płakała twej straty, na twym grobie leż nie roni dziewczyna miłosnych. Zmarła ta, która dała ci życie, poległa wielka córka Morgłana.

Kimże jest ów mąż na kiju wsparty? Czyżaż to głowę okrywa wieku siwizna, czyjeż oczy czerwone od łez? To ojciec twój, o Morarze, ojciec, który nie miał innego syna prócz ciebie. Usłyszał o twojej sławie wojennej, dowiedział się, iluś położył wrogów... zaprawdę wie on o sławie twojej, rycerzu, a nie wie o ranach twoich, Morarze! Płacz syna, ojcie Morara, ale syn twój ciebie nie słyszy. Głębokim snem są ujęci pomarli, nisko na piasku złożone ich głowy. Nigdy nie da on baczenia na głos twój sędziwy, nie zbudzi go twoje starcze wołanie. O, kiedyż znijdzie w ciemnicy grobów poranek i kiedyż zatętni zmarłym rozkaz: wstań!

Zdobywco mocarzy i wodzu, żegnam cię, najszlachetniejszy wśród ludzi! Nigdy nie ujrzą cię pola, nigdy ponury las nie rozbłyśnie migotem twego oręża. Nie zostawiłeś syna, ale pieśń przekaże potomnym twe imię, dowiedzą się o tobie ci, co żyć będą na świecie, posłyszają o poległym Morarze.

Rozgłośnie niósł się żal bohaterów, najdonośniej brzmiały westchnienia Armina pierś rwące. Wspominał śmierć syna swojego, który zginął o życia świtanium. Blisko usiadł przy bohaterze Karmor, książę tętniącego Galmalu. — Czemuż słyhać łkania Armina i jęki? — zapytał. — Czegóż tutaj płakać należy? Czyż nie płynie pieśń i nie brzmia akordy, od których rozplywa się dusza z rozkoszy? Są one, niby lekka mgła, co wyłaniając się z fali jeziora, przysłania rosą łąkę, ale słońce potęgą swoją odgania mgłę z powrotem. Czemuż tak żałośliwym cię widzę Arminie, władco Gormy, jeziorem oblanej?

Biadam, zaiste biadam i nie mała przyczyna mojej rozpacz. O wielki Karmorze, nie straciłeś ty nigdy syna, nie zmarła ci córka urocza. Kolgar żyje waleczny i Anira z dziewic wszystkich najkraśniejsza, kwitną gałęzie domu twego Karmorze, ale Armin jest ostatnim z rodu swojego. Ciemna jest łóżnica twoja o Dauro, ciężki jest sen twój w

mogile! Kiedyż obudzisz się z pieśnią, kiedy zanucisz przepięknym swym głosem? Hej, zbudźcie się, wichry jesienne! Hej, lećcie burzą po błoni! Zahuczcie potoki, zadzwoncie, zaszumcie w dębów koronach mocarne huragany! Idź poprzez poszarpane rozpędzonych chmur rozłogi, księżycu, kryjąc się w cieniu, to znów ukazując swe lico pobladłe. Przypomnijcie mi ową noc okropną i straszną, której poginęły me dzieci, bo kiedy padł Arindal potężny, Daura z miłości umarła.

Piękną byłaś, Dauro, córko moja, piękna, jak księżyc na wzgórzach Fury, biała, jak świeżo spadły śnieg, słodka, jak rzeźwe powietrze! Mocarny był twój łuk, Arindalu, chybka włócznia twa w polu, spojrzenie twe, jak mgła na fali, tarcz niby ognista chmura wśród burzy!

Słynny bojami Armar przybył, chciał posiąść miłość Daury, a ona nie opierała się długo. Piękne nadzieje roili ich przyjaciele.

Erat, syn Odgala, rozgorzał gniewem, albowiem Armar zabił mu brata w boju. Przybył w przebraniu żeglarza. Piękna była łódź jego na fali, białe miał od starości włosy, spokój na poważnym obliczu. — O najpiękniejsza z dziewcząt! — powiedział — urocza córo Armina oto tam na skale niezbyt daleko wśród morza, gdzie czerwienią się żrałe owoce na drzewie, tam Armar czeka na Daurę. Przybywam zawieść kochankę przez fale w objęcia kochanka.

Poszła z nim chętna, wołając lubego Armara, ale jeno echo od skał odbite odpowiedź jej dało. — Armarze! Armarze kochany! Czemuż mnie dręczysz okrutnie? Posłuchaj synu Arnata, to Daura, to Daura cię wzywa!

Zdradziecki Erat, śmiejąc się, pobiegł ku lądowi. A ona wołała rozpacznie, to ojca swego, to brata: — Arindalu! Arminie! Czyż żaden się z was nie pojawi na mój ratunek?

Głos jej przeleciał przez morze. Syn mój Arindal zstąpił ze wzgórza, dźwigając zdobycz strzelecką. U boku chrzęściły mu strzały, w ręku swój łuk dzierżył, a pięć wielkich psów o czarno-szarej sierści, biegło koło niego. Ujrzał na brzegu zuchwałego Erata, pochwycił go i przywiązał do dębu. Mocno skrępował mu lędźwie, a więzień żałośnie jęczał.

Arindal popłynął w łodzi po falach, by przywieść Daurę ze skały. Nadszedł Armar, a zapłonawszy gniewem, wypuścił szaropiórą strzałę. Warknęła w przelocie i utknęła w sercu twym, o Arindalu, mój synu. Miast zdrajcy Erata zginąłeś! Łódź przybiła do skały, on padł w nią i skonał. U stóp twych, o Dauro nieszczęsna, popłynęła krew brata twego!

Bałwany łódź roztrzaskały. Armar rzucił się w morze, by ocalić swą Daurę lub zginąć. Ale fale się rozpętały pchnięte uderzeniem wichury od wzgórza, znikł w nich i nie wypłynął już wcale.

Słyszałem rozpaczne skargi mej córki na skale morzem oblanej. Wołała donośnie i długo, lecz ojciec jej nie mógł ocalić. Przez całą noc stałem na wzgórzu i widziałem ją w nikłej poświacie księżyca. Przez całą noc słyszałem okrzyki poprzez wichru poświsty i szmer deszczu, co siekł ostro o skały. Nim ranek zaświtał, osłabł jej głos, zamarł wśród traw i skał, jak powiew wieczorny. Nie mogąc znieść brzemienia rozpacz, umarła i zostawiła Armina samego! W niwecz się odtąd obróciło moje męstwo bojowe, zagasła ma sława pośród dziewcząt na zawsze.

Kiedy nadciąga burza straszna od gór, a wichur północny piętrzy spienione fale, siadam nad rozświetlonym brzegiem i patrzę ku skale na morzu. Często, kiedy księżyc zapada, widzę duchy mych dzieci, majaczące w oddali, objęte bratnim uściskiem.

.....

Łzy rzuciły się z oczu Loty. Nie mogła ulżyć inaczej swemu uciśnionemu sercu, a Werter czytać przestał. Odrzucił rękopis, pochwycił jej dłoń i zapłakał gorzko. Lota oparła głowę na drugiej ręce i ukryła twarz w chustce. Wzruszenie wielkie ogarnęło oboje. Odczuli własną niedolę i los bohaterów bardzo żywo, czuli to społem i łzy ich zmieszały się razem. Werter zbliżył płonące usta do ramienia Loty. Zadrżała. Chciała się usunąć, ale ból i współczucie zaciężyły jej ołowiem. Westchnęła głęboko, by przyjść do siebie i łkając prosiła, by czytał dalej. Głos jej miał dźwięk niebiański. Wertera przebiegło drżenie, serce mu pękało w piersiach, podjął manuskrypt i czytał złamanym głosem:

— Czemu mnie budzisz, wiośniany powiewie? Owiewasz mnie tchnieniem miłości i mówisz: — Zraszam cię kroplami rosy! — Daremnie! Czas mego więdnienia nadchodzi, już idzie burza, która zwieje liście z moich gałęzi. Jutro nadejdzie wędrowiec, który mnie widział w całej krasie, oko jego będzie mnie szukać po dalekiej pustoci i nie znajdzie...

.....

Słowa te zwały się brzemieniem na nieszczęsnego Wertera. Rzucił się przed Lotą na kolana zrozpaczony, pochwycił jej dłonie, przycisnął do oczu, do czoła, a przez duszę jej przemknęło przeczucie strasznego postanowienia, z jakim się nosił. Utraciła władanie sobą, dłoń jego przycisnęła do piersi, pochyliła się ku niemu boleśnie i policzki ich zetknęły się ze sobą. Świat znikł im sprzed oczu. Otoczył ją ramieniem, przycisnął do siebie i okrywał drżące, szepczące coś usta namiętными pocałunkami. — Werterze! — powiedziała zdławionym głosem, odwracając się od niego. — Werterze! — Słabym ruchem odsuwała go od swej piersi. — Werterze! — zawołała silniej, przychodząc do siebie. Nie mógł się jej oprzeć, wypuścił ją z uścisków i padł jej u nóg, obejmując stopy. Zerwała się zmieszana, drżąc i zawołała na poły gniewnie, na poły miłośniczo: — To raz ostatni... Werterze! Nie zobaczysz mnie nigdy! — Objęła nieszczęsnego spojrzeniem niewysłowionej miłości, wybiegła do sąsiedniego pokoju i zamknęła drzwi za sobą.

Werter wyciągnął za nią ramiona, ale nie miał odwagi jej zatrzymać. Leżał na ziemi z głową opartą o kanapę i w tej pozycji przetrwał dobre pół godziny, aż go oprzytomnił szmer jakiś. Weszła służąca, by nakryć do stołu. Zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem, a gdy służąca wyszła, podszedł do drzwi gabinetu i powiedział z cicha: — Loto! Loto! Słowo tylko! Chcę cię pożegnać! — Milczała. Czekał, prosił i czekał. Wreszcie oderwał się przemocą od drzwi i zawołał: Żegnam cię Loto! Żegnam na zawsze!

Znalazł się u bramy miasta. Strażnicy znali go, przeto przepuścili bez słowa. Wałęsał się w szarudze mokrego śniegu i dopiero koło jedenastej wrócił do domu. Służący zauważył, że pan jego nie ma kapelusza, ale nie śmiejąc o tym wspomnieć, rozebrał go. Całe ubranie było mokre. Znalezione potem kapelusz na urwisku skalnym, zwieszonym ponad doliną i dziwiono się bardzo, jak Werter mógł się tam dostać wśród ciemnej, dżdżystej nocy i nie spaść.

Położył się i spał długo. Służący, który na zawezwanie przyniósł mu nazajutrz rano kawę, zastał go piszącego. Był to następujący ustęp listu do Loty:

»Po raz tedy ostatni, po raz ostatni otwarłem oczy. Nie ujrzą one już słońca, ach, nie ujrzą, bo niebo zaległy mgły szare. Okryjże się żałobą przyrodo, syn twój, przyjaciel, kochanek wstępuje w grób. Loto, uczucie to nie da porównać się z niczym, a jednak najpodobniejsze to jest do snu powiedzieć sobie: oto ostatni dzień! Ostatni! Loto, nie rozumiem słowa: ostatni! Wszakże żyję i trwam w całej sile mojej, a jutro będę leżał wyciągnięty na ziemi w wieczystym uśpieniu. Co znaczy: umierać? Śnimy, mówiąc o

śmierci. Widziałem umierających. Ale ludzka natura jest w tak ciasne ujęta szranki, że nie wyrozumie początku i końca swego istnienia. Teraz jeszcze ma jakiś sens słowo... ja... mój... ty... twój... ach tak, twój jedyna... Ale nadchodzi chwila, która rozdzieli nas... odsunie... może na wieki nawet od siebie! Nie Loto, nie! Jakżebym ja mógł przestać istnieć, jakżebyś ty zniknąć mogła? Wszakże... istniejemy!... Zniknąć? Cóż to znaczy? Słowo to jeno, puste słowo... i nie czuję go sercem moim!... Umrzeć, być zakopanym w zimnej ziemi, w ciasnym, ciemnym grobie?... Miałem przyjaciółkę, opiekowała się mną w dziecięcych latach, gdy byłem tak bezsilny. Umarła, odprowadziłem na cmentarz jej zwłoki. Stałem nad grobem, gdy spuszczo trumnę, słyszałem szelest wyciąganych spod niej sznurów, potem padać zaczęły grudki, bębniąc straszliwie po trumnie, potem waliła się z łoskotem ziemia coraz wyżej, wyżej, aż grób zasypano. Upadłem na kolana obok mogiły wzruszony, przejęty, strwożony, wzburzony duchowo... ale nie mogłem tego pojąć, nie mogłem zrozumieć, że ze mną będzie to samo... Śmierć? Grób? Nie... nie rozumiem tych słów!

O, przebac mi, przebac, co się stało wczoraj! Powinno to było stać się ostatnią chwilą mego życia. O, ty anielska istoto! Po raz pierwszy, bez wątpienia po raz pierwszy uczułem rozkosz w najtajniejszych głębiach mej duszy! — Kocha mnie! Kocha! — snuło mi się. Pali mi jeszcze dotąd wargi święty żar, bijący z ust twoich, płomienną rozkoszą przeniknione jest serce moje. Przebac mi! Przebac! Wiedziałem, że mnie kochasz, poznałem to po pierwszym zaraz pełnym duszy spojrzeniu twoim, po uścisku ręki. Ale gdym się oddalił, a za powrotem zastałem Alberta u twego boku, popadłem znowu w niepokój i zwątpienie.

Czy pamiętasz kwiaty, przysłane wówczas, kiedy z powodu obecności różnych niemiłych ludzi nie mogłaś zamienić ze mną słowa, ni uścisku dłoni? Przez pół nocy klęczałem przed tymi kwiatami, bo były mi rękojmią twojej miłości. Ale... ach... uczucie to rozproszyło się z wolna, jak ulata z duszy wiernego poczucie łaski Boga, której mu z całą niebiańską dobrocią użyczono w świętym widzialnym znaku.

Wszystko to przemija, ale wieczność cała nie ugasi żaru życia, którego nabrałem wczoraj z ust twoich i którym jestem przepojony! Kochasz mnie! Ramię moje cię objęło, usta me spoczęły na twych wargach, szepczących słowa upojne. Jesteś moja!... Tak, moja jesteś, Loto, na wieki!

I cóż stąd, że Albert jest mężem twoim? Mężem? A więc w oczach... tego... świata, jest to grzechem, że cię kocham, że pragnę cię wyrwać z jego ramion!... Grzech? Dobrze, ukarzę się przeto sam za to, że grzechu tego wychyliłem puchar niebiański do dna, że

się napiłem nektaru życia i siły nabrałem w serce. Od onej chwili jesteś moja, Loto, moja! Uprzedzam cię, udaję się do naszego wspólnego ojca, uzalę się przed nim, on mnie pocieszy i ukoj, potem przyjdiesz ty, wybiegnę naprzeciw ciębie, pochwycę w ramiona i już nie rozłączymy się nigdy, objęci wieczystym uściskiem w obliczności Boga...

Nie są to rojenia, nie jestem w obłądzie, tylko rozjaśniły się myśli moje tu, nad grobem. Nie przeminiemy! Zobaczymy się! Zobaczę twoją matkę..., zobaczę... odnajdę... i wypłaczę cały ból serca na jej łonie... twoją matkę... twój pierwowzór.«

Około jedenastej spytał Werter służącego, czy Albert powrócił, a służący odparł, że widział, jak odprowadzano do stajni jego konia. Wówczas wręczył mu Werter otwartą kartkę, zawierającą te słowa:

»Bardzo proszę, by mi pan pożyczył swych pistoletów, gdyż wybieram się w podróż. Łączę uprzejme pozdrowienie.«

Lota bardzo źle spała tej nocy. Rozstrzygnęło się to, czego się obawiała, i to w sposób tak zgoła niespodziewany, że nie mogła tego przewidzieć. Napeliło ją to przerażeniem. Zazwyczaj spokojna w poczuciu swej niewinności i umiejąca sobie radzić, popadła w gorączkowe wzburzenie, a gwałtowne uczucia wstrząsały jej sercem. Nie wiedziała, czy żar objęć Wertera jeszcze odczuwa, czy oburza się jego zuchwalstwem, czy może cierpi, porównyując swój obecny stan duchowy z poprzednią swobodą pewnej siebie niewinności i beztroskiego zaufania w swe siły? Nie wiedziała, jak ma się zachować wobec męża, rozmyślała, czy ma mu opowiedzieć to całe zajście, które opisać mogła, a jednak nie śmiała! Tak długo nie poruszali tego tematu, czyż więc miała pierwsza przerwać milczenie i w tej właśnie, zgoła niesposobnej chwili uczynić mężowi tak niespodziane odkrycie? Była pewna, że sama wiadomość o bytności Wertera będzie dlań nader niemiła, cóż mówić o niespodzianej katastrofie? Czyż była nadzieja, by mąż patrzył na całą rzecz z właściwego punktu i osądził ją bez uprzedzenia? A z drugiej, czyż pragnęła naprawdę, by wszystko wyczytał w jej duszy? Nie mogła zdobyć się przy tym na zatajenie przed mężem pewnych uczuć, gdyż nie uczyniła tego dotąd nigdy i była wobec niego zawsze krystalicznie czysta, otwarta i pełna zaufania. Wszystko to trawiło ją niezmiernie i wprowadzało w zakłopotanie. A myśli jej wracały ciągle do Wertera, który był dla niej stracony, z którego stratą pogodzić się nie mogła, a którego niestety pozostawić musiała własnemu losowi. Czowała, że Werterowi, gdy ją utraci, nie pozostanie już nic na świecie.

O, jakże ciężył jej teraz ów zastój w stosunkach przyjacielskiej ufności, jaki od pewnego czasu panował pomiędzy nią a mężem. Nie odczuwała go zrazu, ale teraz przekonała się, że węzła tego rozciąć nie można w krytycznym momencie, od którego zależało wszystko. Tak się dzieje zawsze, jeśli ludzie rozumni zaczynają milczeć z powodu pewnej tajonej różnicy poglądów, gdy jedno i drugie rozważa z osobna swą słuszność i brak słuszności strony drugiej, a stosunki pomotają się w sposób nie do rozplatania. Gdyby trwali dotąd w dawnej zażyłości, lub nawiązali te nici przed jakimś czasem na nowo, wówczas miłość i wzajemne pobłażanie byłyby tak żywe, że serca nie miałyby co taić, a wówczas może mogłaby była uratować przyjaciela.

Sprawę komplikowała jedna jeszcze okoliczność: Werter, jak wiemy z jego listów, nigdy nie czynił tajemnicy z tego, że pragnie ten świat porzucić. Albert spierał się z nim o to często, a rzecz ta bywała też tematem rozmowy Loty z mężem. Albert żywił głęboką odrazę do czynu tego rodzaju, a przy tym z podnieceniem, nielicującym zgoła z jego usposobieniem, dał do poznania, że ma powody niedowierzania w szczerość takiego zamysłu, raz pozwolił sobie nawet na żart i wpoił tę swoją niewiarę żonie. Uspokajało ją to, co prawda, z jednej strony, gdy jawił jej się w myśli smutny obraz takiego zakończenia sprawy, ale z drugiej przeszkadzało jej bardzo w zwierzeniu się przed mężem z obaw, jakie ją w tej chwili dręczyły.

Albert powrócił, a Lota wyszła naprzeciw niego pospiesznie. Nie był w humorze, nie załatwił interesu, urzędnik okazał się upartym, drobnostkowym człowiekiem, a zła droga wprowadziła go również w rozdrażnienie.

Spytał, czy coś nie zaszło, a ona odparła z niezwykłym pospiechem, że wczoraj wieczór był Werter przez godzinę. Spytał, czy przyszły listy, a Lota odparła, że list i kilka pakietów ma u siebie w pokoju. Udał się po nie, a Lota została sama. Obecność człowieka, którego kochała i ceniła, uczyniła na niej silne wrażenie. Uspokoilo ją wspomnienie jego szlachetności, miłości i dobroci, uczuła potrzebę pójść za nim, wzięła przeto robotę i udała się do niego, jak to czyniła często. Zastała go przy otwieraniu pakietów i przeglądaniu ich. W niektórych znalazły się rzeczy niezbyt miłe. Spytała go o to i owo, odpowiedział krótko, potem stanął przy pulpicie i zaczął pisać.

Spędzili ze sobą w ten sposób godzinę, a w sercu Loty czynił się coraz większy mrok. Czuła, jak trudno byłoby jej odkryć mężowi to, co miała na sercu, nawet gdyby był najlepiej usposobiony. Popadła przeto w przygnębienie, tym przykrzejsze, że się musiała z nim kryć i łzy połykać.

Zakłopotало ją bardzo pojawienie się służącego Wertera. Podał mężowi kartkę, a Albert zwrócił się spokojnie do niej i powiedział: — Daj mu pistolety! — Potem rzekł chłopcu: — Proszę pozdrowić pana i powiedzieć, że życzę mu szczęśliwej podróży! — Spadło to na nią, jak piorun. Zachwiała się na nogach powstawszy z krzesła i nie wiedziała, co się z nią dzieje. Podeszła z wolna do ściany, drżącą ręką zdjęła pistolety, otarła je z kurzu i zawahała się. Byłoby to trwało długo, gdyby nie pytające spojrzenie męża, które zakończyło sprawę. Nie mogąc wyrzec słowa, wręczyła chłopcu nieszczęsną broń, a gdy wyszedł, zwinęła robotę i wróciła do swego pokoju w stanie niezmiernego niepokoju. Serce mówiło jej, co się stanie. Była gotowa rzucić się do nóg mężowi, wyznać wszystko, opowiedzieć całe wczorajsze zajście, wziąć winę na siebie i zwierzyć mu się z obaw. Po chwili uświadomiła sobie, że to nie przyda się na nic, a Albert stanowczo nie zgodzi się iść do Wertera! Podano obiad i przyszła pewna znajoma, która... wpadła na chwilkę i zaraz iść musiała... ale została w końcu. Jej obecność umożliwiła rozmowę przy stole. Oboje zmuszali się do mówienia, opowiadania i zapominali po trosze o tym, co się dzieje.

Służący przyniósł pistolety Werterowi, który przyjął je z radością, dowiedziawszy się, że dała mu je sama Lota. Kazał sobie przynieść chleba i wina, wysłał chłopca na obiad i usiadł pisać.

»Przeszły przez twoje ręce, otarłaś je z kurzu, całuję je tysiące razy, dotykałaś ich... ty... ty niebiańska istoto, pochwalasz tedy mój zamiar. Podajesz mi do rąk narzędzie, z rąk twoich tedy pragnę przyjąć śmierć i przyjmuję ją! Wypytałem dobrze służącego. Drżałaś, podając mu je, nie rzekłaś słowa pożegnania! Nie rzekłaś... biada mi! Czyżbyś zamknęła twe serce przede mną z powodu tego krótkiego momentu, który mnie złączył z tobą na wieki? Loto, tysiąc lat nie zdoła zatrzeć tego wrażenia, a czuję, że nie możesz nienawidzić tego, który taką pałą ku tobie miłością.«

Po jedzeniu kazał służącemu dokończyć pakowania, podarł mnóstwo papierów, wyszedł na miasto i popłacił drobne długi. Wrócił do domu, wyszedł ponownie, udał się za miasto, mimo deszczu spacerował po hrabskim parku, ruszył dalej w okolice, o zmierzchu wrócił i siadł do pisania.

»Wilhelmie! Po raz ostatni widziałem pola, lasy i niebo. Żegnam cię! Przebac mi droga matko! Pociesz ją Wilhelmie! Niech was Bóg błogosławi! Wszystkie moje sprawy są w porządku. Bywajcie zdrowi, spotkamy się kiedyś w lepszym świecie!«

»Żłem ci się odwdzieczył Albercie, ale mi przebac! Zburzyłem twój spokój domowy, obudziłem pomiędzy wami wzajemne niedowierzanie. Bądź zdrow! Ja odchodzę! Bądźcie szczęśliwi przez moją śmierć! Albercie! Daj szczęście temu aniołowi! Niech błogosławieństwo Boże spocznie na tobie!«

Przez resztę wieczoru przeglądał papiery, wiele z nich podarł i spalił, a zapieczętował kilka dużych pakietów i zaadresował je do Wilhelma. Były to drobne artykuły i luźne myśli, których sam dużo u niego widziałem. Około dziesiątej kazał dołożyć dREW na kominek, przynieść sobie flaszkę wina, a potem odesłał spać służącego. Służący spał, jak i reszta służby domowej w odległym skrzydle. Chłopak nie rozbierając się padł na łóżko, by zaraz rano być gotowym, gdyż pan mu zapowiedział, że dyliżans zajedzie przed dom około szóstej.

Po jedenastej

Cisza wkoło mnie głębsza, a dusza moja spokojna. Dzięki ci składam Boże za to, że w ostatnich tych chwilach udzielił mi tyle siły. Przystępuję, ukochana moja, do okna i poprzez pędzące spiesznie chmury dostrzegam to tę, to ową gwiazdę na niebie! Nie pospadacie, — myślę — Bóg piastuje was i mnie na swoim łonie. Dostrzegłem gwiazdy dyszlowe Wielkiego Wozu, który lubię najbardziej spośród wszystkich konstelacji. Gdy wychodziłem od ciebie późną nocą, widniała zawsze nad mą głową. Z jakimże upojeniem wpatrywałem się w nią niekiedy! Czasem podnosiłem ręce i czyniłem ją znakiem, słupem granicznym szczęścia mego tej chwili! O Loto, wszystko mi ciebie przypomina! Wszakże ciągle otoczony jestem tobą, bowiem, jak dziecko niczego niesynte, nagromadziłem wkoło siebie różne drobiazgi, uświęcone twym dotknięciem.

Ukochana sylweta! Zapisuję ci ją w spadku i proszę, byś ją szanowała. Przywarły, do niej niezliczone pocałunki moje, niesłychaną ilość razy żegnałem ją skinieniem wychodząc, a witałem, wracając do domu.

Osobną kartką proszę ojca twego, by zechciał zająć się moimi zwłokami. Na cmentarzu, w samym kącie od strony pola rosną dwie lipy, tam pragnę spoczywać. Pewny jestem, że uczyni to dla przyjaciela. Dołącz swą prośbę. Nie chcę się narzucać z

sąsiedztwem pobożnym chrześcijanom, bo może by nie radzi byli nieszczęśliwemu. A może lepiej pochowajcie mnie przy drodze lub pośrodku bezludnej doliny, by kapłan, czy lewita żegnał się ze strachem, mijając mój kamień grobowy, albo Samarytanin łzę uрониł.

Gotowym jest, Loto. Bez drżenia ujmuję w rękę ten kielich, z którego napiję się śmierci i zapomnienia. Tyś mi go podała, przeto nie waham się. Spełnię go do dna. Ziszczają się w ten oto sposób wszystkie pragnienia i nadzieje mego życia! Zimny, zdrętwiały, pukam w spiżowe drzwi śmierci.

O, jakżem szczęśliwy, że mogę... za ciebie... umierać! Jakżem rad, że mogę oddać się za ciebie! Umarłbym odważnie i radośnie, jeśli bym ci mógł powrócić spokój i powab życia. Niestety, niewielu ludziom danym było przelać krew za swych bliskich i śmiercią swą przyjaciółom szczęśniejszego, bujniejszego życia przysporzyć.

Chcę być, Loto, pochowany w tej odzieży, którą mam na sobie. Tyś jej dotknęła i uświęciła ją. I o to prosiłem ojca twego. Dusza moja unosi się już ponad trumną. Niech nie przeszukuje nikt moich kieszeni. Dajcie mi do grobu tę przepaskę bladuróżową, którą miałaś u piersi, kiedym cię po raz pierwszy ujrzał w otoczeniu dzieci. Dałaś mi ją na urodziny! Ucałuj serdecznie dzieciaki i opowiedz im o smutnym moim losie. Kochane istoty, widzę je wkoło siebie w tej chwili. Kiedym cię ujrzał pośród nich, od razu poznałem, że nie zdołam się oderwać od ciebie!... Jakżem to wszystko poplątał... piszę bezładnie... Ach! Nie sądziłem, że do tego aż dojść będę musiał... Bądź spokojna... proszę cię... bądź spokojna!

Nabite! Bije północ... Już czas! Loto! Loto, bądź zdrowa... żegnam cię!...

Sąsiad ujrzał błysk i posłyszał strzał, ale ponieważ potem nastał zupełny spokój, przeto przestał się zajmować tą sprawą.

Rano, o szóstej zjawił się służący ze światłem. Znalazł na ziemi swego pana, pistolet i kałużę krwi. Zaczął wołać, ruszać go, ale nie otrzymał odpowiedzi... Werter rzeził jeszcze tylko. Chłopak pobiegł po lekarza i po Alberta. Lota usłyszała brzęk dzwonka i drżenie ogarnęło ją całą. Zbudziła męża, wstali oboje, służący płacząc i jękając się zawiadomił ich o tym co się stało, a Lota osunęła się zemdlona u nóg Alberta.

Lekarz nadbiegł szybko, zbadał leżącego na ziemi i stwierdził, że nie ma ratunku. Puls bił jeszcze, ale całe ciało było porażone. Strzelił ponad prawym okiem, kula przeszła na wylot, a mózg wystąpił na wierzch otworem. Puszczono mu krew na ramieniu. Szła obficie, a on oddychał ciągle.

Znaleziono krew na oparciu krzesła, przeto wywnioskowano, że popełnił samobójstwo siedząc przy biurku, potem zaś osunął się na ziemię i konwulsyjnie okręcił się koło krzesła. Leżał twarzą zwrócony ku oknu, na plecach, zupełnie ubrany i obuty i miał na sobie błękitny frak i żółtą kamizelkę.

W całym domu, w sąsiedztwie i mieście powstało wzburzenie. Albert zjawił się. Położono Wertera na łóżku i przewiązano mu czoło. Twarz miał podobną zmarłemu i nie poruszał żadnym członkiem. Płuca rzeziły strasznie, czasem słabo, czasem głośniejsze... co chwila oczekiwano końca.

Wypił jedną tylko szklankę wina. Na pulcie, otwarta leżała Emilia Galotti.

Nie każcież mi opowiadać o przerażeniu Alberta i o rozpaczach Loty.

Na smutną wieść przyjechał stary komisarz co tchu i ucałował, płacząc rzewnie, konającego. Niebawem nadeszli pieszo starsi synowie jego i padli na kolana przy łóżku, bolejąc niewymownie. Potem całowali mu ręce i usta, a najstarszy, którego Werter najgoręcej kochał, przywarł do jego ust, całował je aż do chwili skonu, a potem musiano go przemocą odrywać od zwłok. Zmarł o dwunastej w południe. Obecność komisarza przyczyniła się do załagodzenia całego zajścia i skutków. Koło jedenastej w nocy pochowano zmarłego w obranym przezeń miejscu. Za trumną szedł stary komisarz ze synami, Albert nie był w stanie tego uczynić. Stan Loty budził obawy o jej życie. Ponieśli go do mogiły rękodzielniczy miejscy. Nie odprowadził ciała żaden z księży.

---

Przeczytaj także:

[Cierpienia młodego Wertera – Streszczenie szczegółowe](#)

[Cierpienia młodego Wertera – Streszczenie krótkie](#)

[Cierpienia młodego Wertera – Plan wydarzeń](#)

[Cierpienia młodego Wertera – Charakterystyka bohaterów](#)

[Cierpienia młodego Wertera – Czas i miejsce akcji](#)

[Cierpienia młodego Wertera – Geneza i gatunek utworu](#)

[Cierpienia młodego Wertera – Problematyka utworu](#)

[Cierpienia młodego Wertera – Biografia autora](#)

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Johann Wolfgang Goethe, Cierpienia młodego Wertera, tłum. Franciszek Mirandola, oprac. Zygmunt Zagórowski, Krakowska Spółka Wydawnicza, Kraków 1922.